

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.



WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:

Rocznie . . (52 tomy) rs. 10
Półrocznie (26 tomów) „ 5
Kwartalnie (13 tomów) „ 2 kóp 50
Za odosłanie do domu 15 kóp. kw.

Z przesyłką pocztową:

Rocznie . . (52 tomy) rs. 12
Półrocznie (26 tomów) „ 6
Kwartalnie (13 tomów) „ 3

Cena każdego tomu 25 kóp., w oprawie 40 kóp.

DOPLATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie . . (za 52 tomy) rs. 8 kóp. —
Półrocznie. (za 26 tomów). „ 3 „ —
Kwartalnie (za 13 tomów). „ 1 „ 00

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kóp.

Główni współpracownicy:

Teodor Jeske-Choiński
Dr. Julian Ochorowicz,
Julian Adolf Święcicki.

REDAKTOR I WYDAWCA

Franc. Jul. Granowski.



Redakcja i Administracja: Warszawa, Nowy-Świat 47.—Telefonu 1670.
we Lwowie Plac Maryacki 1. 4.

Drukarnia A. T. Jezierskiego, Nowy-Świat 47

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

№ 151.

Patryoci z zakątka.

POWIEŚĆ CZESKA

Karola Rais'a

w przekładzie

J. Kietlińskiej-Rudzkiej.



TOM I

Karol Rais

Cena 40 kop.

W pren. 30 $\frac{1}{2}$ kop.

WARSZAWA.

Redakcyja i Administracyja

47. Nowy-Świat 47.

1900.

PATRYOCI Z ZAKĄTKA.

PATRYOCI Z ZAKĄTKA.



~~№ 239.~~
Karol Rais. ~~№ 10~~

№ 22



PATRYOCI Z ZAKĄTKA

(Západli vlastenci)

POWIEŚĆ
CZESKA

W PRZEKŁADZIE

J. Kietlińskiej - Rudzkiej

—  —
Tom I.
—  —

WARSZAWA.

DEUKARNIA

A T. Jezierskiego

47. Nowy Świat 47.

301156



22

Дозволено Цензурою.
Варшава, 4 Октября 1900 г.



120152

KAROL RAIS.

Autor „Patryotów z zakątka” należy do najznakomitszych powieściopisarzy czeskich doby współczesnej. Pisał dużo, a każda jego praca ma swoją wartość artystyczną i narodową; wiele też z nich tłómaczono na obce języki.

Uprzejmości prof. Czernego z Pragi czeskiej zawdzięczały następujące dane biograficzne, dotyczące naszego autora:

Urodzony 4 stycznia 1859 r. w Bielohradzie pod Iczynem, Karol Rais skończył szkołę realną i kursy pedagogiczne w tem ostatniem mieście, a następnie, od r. 1877, poświęcił się zawodowi nauczycielskiemu. Uczył w szkołach miejskich w Trhowej Kamenicy i w Hlinsku (miasteczko wschodnio-czeskie), później w Podoli pod Pragę. W r. 1889 został nauczycielem szkoły mieszczańskiej w Žyžkowie (przedmieście Pragi), a od r. 1898 jest dyrektorem szkół żeńskich na Winohradach (nowa dzielnica Pragi).

Działalność swoją literacką zaczął od pism dla młodzieży: były to poezye i opowiadania historyczne,

obok których ogłaszał jednak i poważniejsze utwory w czasopismach czeskich.

Od lat czternastu zaczął pisywać powieści z życia górali czeskich, które mu odrazu zjednały olbrzymią popularność, jako pełne życia i prawdy.

Nie mniejszem powodzeniem cieszyły się i mieszczańskie jego powieści, jak „Sklennik” (Cieplarnia), „Mezi lidmi”, „Jen povreh” (tylko na wierzchu) i „Pantála Bezouszek”, której bohaterka stała się najpopularniejszym typem literatury czeskiej.

Z wiejskich powieści niepoślednimi zaletami odznaczają się „Wyminkarz” (Dożywotnik), „Horske korzeny” (Górskie korzenie), „Rodzicze a diety” (Rodzice i dzieci) i w. i.

Pierwszą większą i bodaj czy nie najlepszą jego pracą jest utwór, który dajemy czytelnikom „Biblioteki”, u nas dotychczas nieznany, a od kilku lat przełożony już na język rosyjski p. t. „W czeskiej szkole”. W oryginale nosi on tytuł: „Zapadli Vlastenci”, co daje się przetłómaczyć wyrażeniem: „Patryoci z zakątką.” Utwór niepośledni, który trudno czytać bez serdecznych wzruszeń.

Sądzymy, że czytelnicy nasi przyjmą z wdzięcznością to piękne dzieło pobratymczego autora. Tłómaczenie nie było łatwem, ponieważ autor starał się zachować lokalne cechy mowy swych bohaterów; w wielu miejscach okazała się też potrzeba objaśnień, które tłómaczka, znająca gruntownie język czeski, podała w przypiskach.

I.

W czwartek, 24 lutego 1842 r., na drodze, prowadzącej z górskiego miasta powiatowego Wietrowa do Karko-nosz ¹⁾ na północ Czech, stały wielkie, chłopskie sanie. Gniady, kosmaty koń parską; koło pyska miał pełno piany, a mokra jego sierść pokryta była szronem. Z lewej strony konia szli dwaj wieśniacy: jeden sześćdziesięcioletni, drugi młodszy, dwadzieścia parę lat liczący.

Starszy był małego wzrostu, o szerokich barach i wielkiej głowie, na której miał czapkę z wytartego baranka; twarz jego cała poorana była zmarszczkami, porośnięta siwym zarostem. Miał na sobie bury kożuch, zeszyty na plecach, wcięty w bokach; na nogach zaś stare skórzane spodnie, wsunięte w buty, przy których wisały uszy ze skóry. Młody był pięknym młodzieńcem o rumianej twarzy, niebieskich oczach, bujnych, kasztanowatych włosach, wychodzących z pod nowej, czarnej, kastorowej czapki; pod nosem zaledwie puszczały mu się wąsy. Opięty był szczelnie w surdut z ciemno-lśniącego sukna, wazkie spodnie w paski spadały mu na buty. Stojąc na rozstajnych drogach, rozglądali się wokoło. Śniegiem pokryta droga, wyjeżdżona saniami, kręto spuszczała

¹⁾ Góry Olbrzymie.

się ku dołowi; na prawo rozciągała się druga, nieubita, z małą wydeptaną obok ścieżką, prowadzącą do lasu, zasłaniającego dalszy horyzont. Gorące, miedziano-czerwone słońce, zachodzące na ciemnym, zamglonym firmamencie, nie rzucało iskrzących, świetlnych promieni, lecz spoglądało pochmurnie na górzystą miejscowość, na której widać było rozrzucone chaty wiosek, i oblewało śnieżną powierzchnię różowawym światłem. Horyzont południowo-zachodni zasłonięty był mgłą, poprzecinaną czerwonymi smugami, jakie pozwalały dojrzeć głębie i cały obszar tego morza mgły. Ogromne wzgórze Karkonoszkie pogrążone było całkiem w mroku, bliższe lasy, pokryte śniegiem, stały jakby martwe. W północnej stronie, na szczycie wzgórza widniała jasna wieża i ciemny dach kościoła. Rosochate gałęzie jarzębiny, rosnącej po obu stronach drogi, pełne były szronu; tu i owdzie wychylały się zeschłe już jagody. Rozrośnięte drzewa nie uginały się, nie zaszeleściły nawet.

Dokąd tylko wzrok sięgał, nigdzie nie było można dostrzedz najmniejszego znaku życia: ani tam wrona nie zakrakotała, ani pliszka i trznadel nie zaświergotał.

— Co robić? Trzeba chyba zawrócić na prawo — rzekł staruszek, uderzywszy biczem.

— Pewnie — potwierdził młodzieniec.

— Wio, stara, wio! — zawołał woźnica i koń skręcił w prawo.

Sanie, zawadziwszy o kilka większych kamieni, zaskrzypiały, przechyliły się w bok, ale wjechawszy w kolej, ruszyły naprzód.

Rzeczy na saniach przykryte były płachtą, z pod której wyglądał żółty kufer o malowanych płakach i kwiatach, części łóżka, siennik wystany, a na wierzchu duży tłumok.

— Skoro przejedziemy las, powinniśmy już wieś zobaczyć, przecież nie zabłądziliśmy — powiedział woźnica.

— Nie może być już daleko; wszak wyjechaliśmy z miasta przed godziną — dodał młodzieniec, patrząc na ogromny zegarek, jaki wyjął, nie rozpinając palta.

Wjechali do starego jodłowego lasu, gdzie drzewa tak były zasypane śniegiem i obciążone szronem, że zaledwie przez szczeliny widać było niebo. Gałęzie pod ciężarem śniegu i sopli ugięły się ku ziemi, a zgięte sosny i jodły podobne były do młynarczyków, dźwigających wory z mąką.

Ziemia w lesie całkiem była zasypana śniegiem, miejscami jeno ciemniały kupki igieł, lub szyszek sosnowych.

Sanie skrzypiały, ocierając się o kamienie; z gąszczu zaś dochodził szum i trzask dziwny.

— Panie Karolu, tu w górach będzie wam dyabelsko źle. Toż człowiekby pomyślał, że to nie post mamy, lecz Boże Narodzenie dopiero — mówił woźnica, stale potrzaskując biczyskiem.

— Cóż na to poradzić, stryju Czeszko! Bóg mi dopomoże, a przecież i tu żyją ludzie — odparł młodzieniec, smutnie spoglądając w leśną głębię.

— Tak, tak, ale ci są tu od kolebki i już się zahartowali.

— Inaczej być nie mogło, musiałem się o to zahaczyć, aby mieć życie z czegoś...

— Toby twego dziadka nieboszczyka najwięcej bolało. Trudno uwierzyć, że sprawiedliwość jest na świecie!

Młodzieniec nic nie odrzekł, a spuściwszy zadumaną głowę, szedł równolegle z saniami, grzęznąc w śniegu i mchu, znajdującym się pod nim.

Jakiś czas jechali po równinie, następnie zaś musieli się zsuwać z tak stromej góry, że starzec zaledwie mógł konia utrzymać. Wydostawszy się wkrótce z lasu, stanęli na śnieżystych łąkach, zkąd im się ukazał parów, na wschód i zachód tylko odsłonięty.

W północnej stronie widniał duży odłam góry ze szczytem lesistym, przypruszonym śniegiem, do którego jakby poprzyczepione były liczne chaty wiejskie. Środkowe, najwyższe miejsce wioski, zajmował kościół, o niezbyt wysokiej wieży, z kopułą świeżo blachą obitą, odbijającą teraz jaskrawe światło.

Naprzeciw kościołka stał jeden parterowy, muryrowany domek z czterema, długi dłuższy, drewniany, z pięciu oknami frontowymi.

Wszystkie chaty i baraki ¹⁾, tam rozrzucone, dla zabezpieczenia przed zimnem otoczone były wałami ze śniegu, tylko te dwa domki, o czysto wybielonych ścianach, stały nieosłonięte.

— Ot! już i Pozdietyń! — zawołał radośnie starzec. — Ale kościół mają w porządku; a ten domek kamienay z ogródkiem, to pewnie będzie plebania.

— A ten dłuższy—szkoła—dodał młodzian, patrząc z uśmiechem w przestrzeń.

— Ano pewnie, że tak. Wioska jest porządnie rozległa; spojrzysz, jak się daleko rozciąga—i wieśniak swym biczem ukazywał obszar Pozdietyna.

Na całej pochyłości góry, aż ku dolinie, rozsiały się chaty; ostatnia stała na samym południowym skłonie, pokrytym gęstym lasem jodłowym, z którego właśnie wyjechali podróżni.

Przejechawszy łąkę, dostali się na kamienny mostek, przecinający strumień, całkiem zamarznięty. Pod lodową skorupą, przy brzegach cienką i bardzo przezroczystą, szemrała czysta, jak kryształ, woda, płynąc na wschód.

Słońce stało wprost południowej części parowu i zalewało go potokiem różowego światła. Ośnieżone łąki, pola, strzechy i ściany chat, lesiste góry kąpały się w tem zimowem świetle, które rzucało swe pro-

¹⁾ Ubogie lepianki.

mienie hen, za parów, na odległą górę z wioską, na ciemne bory, na te głębie mgły, nadając im fioletowy odcień.

— Panie, ztąd nic, prócz nieba, nie widać—powiedział z uśmiechem starzec.

Młodzieniec kiwnął głową.

— Zdaje się człowiekowi, że gdyby przyszła zawierucha, to, nie daj Boże, wszystkoby zasypała i zrównała.

Dojechali do pierwszego pochylonego domku przy drodze. Z małych okienek, do połowy przykrytych słomą i choiną, dochodził turkot warsztatu tkackiego, w oddali słychać było szum i plusk wody, spływającej z tamy, lub koła młyńskiego.

Na samym końcu nasypu stał mały, kościsty dziadek, o siwych, rozczochranych włosach. Miał na sobie tylko płócienną koszulę z szerokimi rękawami, krótkie, skórzane spodnie, na łydkach stare, podarte pończochy, na stopach, sinych od zimna, dziurawe pantofle. W ustach trzymał fajkę drewnianą.

— Daj wam Boże dobre odpołudnie. A gdzie też tu szkoła?—zapytał Czeszka.

— Jedźcie wciąż w górę, a ten dom o pięciu oknach, to właśnie szkoła— przytłumionym, lecz ostrym głosem odpowiedział starzec, a wyjąwszy z ust fajkę dodał:

— I wam niech Bóg da dzień szczęśliwy. Zdaje mi się, że wieziecie nam nowego „preceptora.”

Mówiąc to, czarnemi, małemi oczami wpatrywał się w młodzieńca i sanie.

— Tak, tak, preceptora wiozę!—odrzekł Czeszka.

— Ano, to was pięknie witam, szczęść wam Boże!—wołał dziadek ochrypłym głosem.

1) Preceptorem nazywano dawniej w Czechach pomocnika nauczyciela.

— Bardzo dziękuję — odpowiedział młodzian z ukłonem.

— A toż trzeba zaraz powiedzieć naszym dzieciom, że jest już pan preceptor — chytrze zaśmiał się starzec, a wsunawszy głowę w ramiona, zgięty, z fajką w lewej ręce, pobiegł do chaty.

Za chwilę wybiegło czworo dzieci z chaty i ciekawie spoglądały na posuwające się w górę sanie. Dwaj chłopcy mieli na sobie wełniane spodnie, przewiązane krajką i wpuszczoną w nie koszulę, dziewczynka ubrana była w krótką, wyszarzaną spódniczkę, najmniejsze maleństwo zakrywała tylko koszula. Wszyscy zaś byli boso i z gołemi głowami.

Dziadek stał już za nimi i śmiejąc się i chichocząc, jak synogarlica, pytał:

— Cóż, widzicie go? No, Franiu, cóż o nim powiesz?

Młodszy chłopiec podrzucił głową, uśmiechnął się, ale nie odpowiedział.

Skoro sanie znikły za budynkami, troje młodszych, zziębniętych dzieci powróciło do chaty, ale najstarszy gwizdnał wesoło, podskoczył i pędem pobiegł do sąsiedniej chałupy.

— A czemu to, chłopcze, nie pędzisz tak do szkoły?—rzucił mu dziadek.

Również i z innych domków, obok których przejeżdżały sanie, zataczające się w tę i drugą stronę, wychodzili starzy i młodzi, a z okien wychylały się ciekawie głowy.

Młodzieniec, zgięty nieco, szedł obok starca; na twarzy jego malowała się trwoga. Patrzył na drewnianą szkołę, na ogródek pod jej oknami, zasypany śniegiem, z rozłożystą jabłonią po środku, a ulami wokoło.

Z boku budynku, w drzwiach, do których prowadziły dwa kamienne stopnie, stał mąż czterdziesto-pięcioletni. Na czarnych, gęstych, kręconych włosach,

opadających mu na szyję, miał starą, spłowiałą, domową czapkę włóczkową, z dużym chwastem, na opalonej szyi miał szeroki czarny szalik, a nad nim widać było wążki brzeg kołnierzyka. Surdut był bez szos, z długim stanem, kamizelka na dwa rzędy guzików zapinana, spodnie z szarego, wytartego sukna wpu-szczone do gładkich cholew. Czoło miał wysokie, przerzniete trzema głębokimi zmarszczkami, nad wielkimi szaremi oczyma zarysowywały się brwi ciemne; nos miał ostry, w kątach ust mnóstwo drobnych zmarszczek sprawiało wrażenie ciągłego uśmiechu; broda szeroka, szpiczasta, obrośnięta była siwiejącym już, rzadkim włosem. Wzrostu był okazałego, muskularny, o szerokich plecach i długich, mocnych rękach. W ustach trzymał munsztuk fajki, cybuch której dosięgał mu stanu.

Ujrzawszy przybyszów, zeszedł ze schodków, a pociągając wolno, lecz silnie fajkę, przypatrywał się nieznajomym.

Przybyły młodzieniec zbliżył się wprost do niego, a trzymając w spuszczonej prawej ręce swą zmiętą czapkę, przemówił drżącym głosem:

— Dobry wieczór! Jestem Karol Czermak, nowy pomocnik tutejszej szkoły.

Sięgnął następnie do kieszeni surduta, a wyjąwszy z niej złożony papier, podał go z dobrotliwym uśmiechem gospodarzowi.

Mąż we włóczkowej czapce długo mierzył badawczym wzrokiem zakłopotanego młodzieńca, przejrzał papier i rzekł poważnie:

— Pan wikary zapomina, że kantor ¹⁾ sam sobie może wybrać pomocnika. Nie powiem wam jednak tego, czem przywitała niedawno nauczycielka w Lou-

¹⁾ Kantor=wiejski nauczyciel, który miał też obowiązek uczyć dzieci kościelnego śpiewu, dyrygować chórem.

kutowie swego pomocnika: „A to nas ładnie wykierował pan wikary! Mogliśmy dostać tu za darmo preceptora, a od jego ojca w dodatku cztery miarki żyta!”

Mówiąc to, coraz się więcej uśmiechał, a pomocnik z każdą chwilą stawał się bardziej przerażonym.

— „Niech się gniewają”¹⁾, panie nauczycielu— zaczął nieśmiało.

Starszy nauczyciel, postawiwszy fajkę w kącie, przerwał mu szybko mowę:

— A jakież to patryota mówi teraz, „niech się nie gniewają?”

A zmierzwiwszy znów młodzieńca swym wzrokiem od stóp do głowy, wykrzyknął:

— A tam do dyaska! takiego jeszcze młodego preceptora nie było w Pozdetynie.

I rozwarłszy ramiona, objął niemi pomocnika i tak go mocno do swej piersi przycisnął, że w nim aż kości zachrzęściały, potem ucałował go trzykrotnie.

-- Witam cię, współbracie, witam cię w naszych górach! — powiedział z serdecznem przejęciem i znów uściskał młodzieńca. — Tak, Karol Czermak²⁾ patrzcież, a mnie nazywają Wacław Cziżek, więc będziemy dwoma śpiewającymi ptakami; Bóg da, że nie będzie nam smutno.

Twarz Czermaka pokryła się rumieńcem, a przeleknione oczy rozjaśniły się radością.

Wieśniak Czeszka stał za nimi; przyglądając się panu nauczycielowi, słuchał go uważnie i potakiwał głową.

¹⁾ Dawniej Czesi używali formy 3-ej osoby, t. zn. zamiast 2 ej, biorąc ją z niemieckiego języka, teraz zachowała się ona w gwarze ludowej.

²⁾ Czermak=zięba.

Z dołu, z drogi przybiegały gromadki dzieci, odzianych tak, jak były w domu; chłopiec z pierwszej chaty jeszcze był bosy, a nogi miał czerwono-sine; inni chłopcy włożyli drewniane chodaki, albo pantofle, zrobione ze starych, poobcinanych butów, a ubrani byli wszyscy tak, jakby siedzieli w domu przy gorącym piecu.

— Wasza ¹⁾ idź się obuć—śmiejąc się, krzyknął nauczyciel i tupnął silnie nogą.

Wasza uciekał, jakby go kto gonił; inne dzieci stały opodal; chłopcy trzymali ręce w kieszeniach spodni i badawczo, zdziwionemi oczyma, przypatrywali się nieznanym.

Pan nauczyciel w dwu skokach wpadł do sieni i krzyknął tak głośno, że słychać go było wokoło.

— Tona ²⁾, pan preceptor przyjechał! — i znów zjawił się przed pomocnikiem.

— Musimy to znieść—rzekł z uśmiechem, a odsunawszy płachtę z sań, wziął kuferek za jedno ucho.—Pomóżcie mi, ojcze—zawołał—trzeba go postawić w cieple.

— To byłoby za wiele, gdyby mi pan nauczyciel usługiwał, to niemożliwe!—powiedział Czermak, przybiegając i nieśmiało odsunął zlekka nauczyciela.

— A do dyabła! jaka tam usługa! — zamruczał i wniósł kufer do szkoły.

Wbiegła i nauczycielowa. Była ona średniego, a raczej małego wzrostu, szczupła, o jasnych włosach, łagodnych, niebieskich oczach. Ruchy miała nadzwyczaj żywe. Ubrana była w perkalowy kaftan, wełnianą spodnicę, w chusteczce na głowie, zawiązaną pod szyją, w czerwone pończochy i trzewiki. Zbliża-

¹⁾ Wasza—zdrobniałe imię Wacława.

²⁾ Tona=Antonina.

jąc się do pana pomocnika, wycierała sobie bezustannie ręce o fartuch.

— Ot, mamy gości! — zawołała. — „Pięknie witam”, bądź pan łaskaw dalej; już czekaliśmy na pana oddawna. No, proszę dalej! — To mówiąc, ujęła Czermaka za rękę i wciągnęła do izby.

— Bardzo dziękuję, pójdę, skoro wszystko zniosę—wyszeptał wstydliwie.

— Na Boga! Pan nauczyciel ma twarz, jako chłopiec, nasz Wacław nie wiele jest słabszym, a ma dopiero lat czternaście—trzepotała.

— Czy i on będzie się kierował na nauczyciela?—zapytał pomocnik.

— Boże uchowaj! ojciec ani słyszeć o tem nie chce, już trzeci rok mamy go w Iczynie.

Pan nauczyciel wracał z Czeszką.

— Hej, chłopcy!—zawołał na gromadę dzieci—nie stójcie tu, nie dokazujcie, ot lepiej weźcie rzeczy z sani, abyście i wy przeprowadzali pana nauczyciela. A wy, bracie, nie trudźcie się — i wzięwszy tłumok z pościelą, wszedł do izby.

Kilku chłopców zbliżyło się do sani: jeden pochwycił boki, drugi głowy łóżka, najmniejsi wzięli deski. Czeszka dźwigał siennik dobrze wystany.

— Niech pan będzie łaskaw dalej, powinien się pan ogrzać—skwapliwie zapraszała gospodyni.

Czermak, przychyliwszy się, wszedł za nią do sieni.

— Tu nasz pokój i kuchnia, tam sala szkolna, a tu wasz pokój—mówiła, wskazując w sieni ręką.— Jest on tak maleńkim, że zaledwie będzie się pan mógł w nim obrócić; dawniej zajmował go pryncypał, ale ja sędzę, iż miłszy panu będzie ten kącik, niż spanie i poniewieranie się w klasie.

Przy tych słowach obrzucała wzrokiem młodzieńca i mówiła coraz wolniej.

Czermak rozglądał się po ciemnawej sieni ze ścianami z okrągłaków; między jego pokojem a ku-

chnią stała drewniana, obita deskami drabina, prowadząca na górę; podłoga była ceglana, pełna wydeptanych dziur, drzwi od klasy czerwieniły się w półmroku; na lewo od drabiny stał stary magiel, zastępujący drogę do szkoły i pokoiku.

Pani nauczycielowa zamilkła i ze złożonymi rękami stała spokojnie, patrząc w oczy pomocnikowi.

— Ten magiel był tu już wtedy, gdy ja jeszcze chodziła do szkoły, a mąż go zostawił, bo z tem nam wygodnie. Ale wam, panie, nie będzie się to podobało.

— Dlaczego miałyby mi się nie podobać, proszę pani?—pytał z zadziwieniem.—Myśmy też przecie mieli szkołę, murowaną wprawdzie, ale taką zimną, że aż strach pomyśleć.

— Więc pan również ze szkoły? — rozmawiała śmieiej.

— Tak, dziadek w niej pracował do końca życia, a pochowaliśmy go przed sześciu tygodniami — rzekł smutnie.

— Ach Boże, mój Boże! a ileż zostało dzieci. Pomocnik pokiwał głową.

— Tylko ja z babką... ona tam pozostała...

W drzwiach pokoiku ukazał się pan nauczyciel.

— Domyślałem się, że ty już badasz — rzekł z uśmiechem. — Chodź miły bracie zobaczyć, jak ci rzeczy ustawiłem.

Pomocnik wszedł do pokoju, żona nauczyciela do kuchni.

— A teraz, dzieci, marsz do domu! — rozkazywał pan kantor drobiazgowi, który się wszędzie wciskał.— Ot, patrzcie, jakeście się ogrzały, a byłyście już zdrętwiałe z zimna.

Dzieci wychodziły zwolna, niechętnie.

Pan nauczyciel, zamykając drzwi za niemi, prawił:

— We wszystkim tu niedostatek, tylko nie w dzieciach, niemi Bóg sowiecie obdarza.

Pomocnik się roześmiał i ukradkiem spojrzął na nauczyciela.

— Cóż zatem powiesz o swym pokoju?

— Czemże się wam, panie, odpłacę za wasze dla mnie trudy — odpowiedział z wdzięcznością Czermak.

— At, do licha! Stolik i krzesło to macie jeszcze po swym poprzedniku, Woborzyle; mało ich używał, bo zaledwie na noc tu przychodził.

— Ja przeciwnie, jestem domatorem — odparł pomocnik i zaczął rozglądać się po małym mieszkanku.

Na prawo od drzwi znajdował się niewielki piec z blachą, dalej przy ścianie łóżko, jeszcze nie zasłane, naprzeciw stał stół i krzesło, kufer pod oknem o sześciu szybach.

— Czy tak dobrze?

— Bardzo dobrze — odpowiedział z uśmiechem Czermak, nieśmiało spoglądając na nauczyciela.

— Ściany już zażółkły, ale na wiosnę żona je wam wybieli, bo teraz nieprędkoby wyschły.

Wieśniak Czeszka, który poprzednio wyszedł dla założenia koniom siana, wrócił i przyświadczał:

— Tak, tak, będziesz miał, Karolku, dobrą siedzibę, nie duża ona wprawdzie, ale tobie wystarczy; piec, zdaje się porządny, a jak widzę, pan nauczyciel uczciwy człowiek — nie powinienesz tęsknić. Babunia się ucieszy, gdy jej to wszystko opowiem.

— O pokoik już się nie troszcz, moja żona zawsze go sprzątnie — porządkowanie — to jej słaba strona.

— Mówię, że wam tu będzie dobrze — znów dodał woźnica.

— Tak, tak, dobrze, jak może być dobrze preceptorowi w górach; musi mieć on cierpliwość tego lnu na polu, moczzonego, miazdżonego i rozczesywanego—gniewliwie wypowiedział kantor.

Pomocnik zmieszany, lekko się uśmiechnął.

— A przecież Karolek z tegoż rodu pochodzi—wyraźnie zaakcentował wieśniak.

— Tam do dyabła... Czermak... Czermak... — mruczał nauczyciel, coś sobie przypominając.

— Dziadek uczył u nas w Lanach za Paką, koło czterdziestu lat, a Karolek przy nim się wychowywał—objasniał dalej Czeszka.

— Aha, więc Czermak z Lan był waszym dziadkiem. Znam ja wszystkich kantorów w okolicy, i mnie zna wielu. Dziadka znam tylko ze słyszenia. Ale, proszę, powiedzcie, komu się uda dostać za Pakę?

— Ot, już sześć tygodni minęło od jego pogrzebu—powiedział Czeszka.

— I on się wysłużył — szeptał nauczyciel, patrząc w ziemię.

Pomocnik ocierał oczy.

— Wysłużył się biedak, wysłużył! — wtrącił znów wieśniak. — Co zapracowali, zarobili, to sobie odjęli, a na Karolka łożyli. Ale przyszła choroba dziadka i Karolek musiał porzucić naukę, inaczej bowiem byliby się dostali między obcych ludzi. Marnie im się wy kierowało. Panie nauczycielu, jam prosty człowiek, ale proszę, ażeby pan był łaskaw zaopiekować się Karolem. Babka zatrapiałaby się, gdyby mu źle być miało.

Nauczyciel patrzył tak na pomocnika, jakby mu chciał sięgnąć do głębi duszy.

— Jeśli on mi będzie przychylnym i ja dla niego takim zostanę; parobkiem kantora nie będzie — rzekł z przejęciem i poklepał pomocnika po ramieniu.

— Bóg wam zapłaci! Jestem obcym, teraz jednak spokojniej powrócę do domu. Karolku, czyż mi już nie czas zabierać się do drogi, abym przed nocą kawałek choć ujechał?—dodał Czeszka miękko.

— Dobrze, że nam przypominacie; chodźcie, chodźcie, my tu rozprawiamy, a wiem przecież, że jesteście ziębnięci.

Kuchnia pozdietyńskiej szkoły, do której weszli, była dwa razy większa od pokoju pomocnika. Również na prawo od drzwi był piec z blachą, a nad nim wisiały przeróżne naczynia kuchenne: to była zbroyownia gospodyni. Na lewo stała ciemna szafa, dalej stół czysty, wyheblowany porządnie, resztę przestrzeni zajmowały narzędzia stolarskie, przemieniające kuchnię w prawdziwy warsztat.

Żona nauczyciela z uśmiechem powitała obu nieśmiałyłch gości, mówiąc:

— Tylko upraszam panów o niezwracanie uwagi na ten bezład, nie moja to jednak wina, tylko mego męża.

— Cóż na to poradzić! Jestem, bracie, i rzemieślnikiem, jam jedyny na całą okolicę lekarz skrzypiec... Co kto w zapale, w gniewie rozbije i zniszczy, wszystko do mego szpitala przynoszą...

Przy białej, przykurzonej ścianie stał stół stolarski i krzesła, na warsztacie między narzędziami leżały różne części skrzypiec, a jedne pięknie wypoliturowane wisiały na ścianie.

— No, proszę panów dalej — zapraszała gospodyni, otwierając niskie drzwi przyległego pokoju.

— Pokornie dziękuję, zostanę tu, tu mi bardzo wygodnie—wzdragał się Czeszka.

— Nie obawiajcie się, nie wystąpię wspaniale, napijecie się tylko lichej kawy—śmiała się pani.

— To dobrze, że jest kawa, nasz proboszcz, bracie, częstuje swych gości nawet w zimie, o każdej porze dnia mlekiem kwaśnem.

— Jeśli łaska, to dla rozgrzania się, wypiję tu to i podłogi nie zabłoce—dopraszał się wieśniak.

— Dajcież już pokój i chodźcie, chodźcie, stryju—zachęcała gosposia.

Weszli do obszernego pokoju, również ze ścianami z okraglaków, ale czysto wybielonemi.

Przy długiej ścianie stały dwa piękne łóżka, wysoko usłane, przykryte białemi w niebieskie kwiaty kapami; naprzeciw drzwi znajdowała się komoda dębowa, inkrustowana i mosiężnemi okuciami ozdobiona, obok w kącie duża szafa, także dębowa, na żółto pomalowana, dalej wielki stół nakryty i cztery wyściełane krzesła, na prawo od drzwi stary fortepian, bardzo wązki, czarny, z ciemnymi klawiszami, mocno już wyżłobionemi.

Na ścianach wisało kilka papierowych obrazów świętych, w szare ramy oprawionych, nad łóżkami dwoje skrzypiec i wiolonczela; na szafie stały dwie statuetki: Jana Chrzciciela i Pana Jezusa; na przykrytej serwetą komodzie statua Maryi Panny, trzymającej na rękach Chrystusa złoconego; naokoło niej porozstawiane były doniczki z mirtem, rozmarynem, pe-largonią.

Na fortepianie leżały nuty, w rogu dwie paczki książek, a w kącie, obok małego pieca, stały półki z książkami i nutami.

— Siadajcie, panowie, siadajcie—zachęcała pani domu, podając dwa krzesła.

Goście rozejrzeli się, wokoło i usiedli.

— Oto są moje instrumenty—powiedział pan nauczyciel, wskazując na skrzypce.—Są one doskonałe. Za te skrzypce dałem kiedyś tylko dwa srebrne guldery, a to dlatego, że wydawały fałszywe tony. Przyniosłszy do domu, schowałem je do pochwy, potem rozebrałem, przerobiłem zupełnie i teraz wydają silniejszy głos od dzikich gołębi. Cóż robić! Człowiek musi się starać, ażeby jakimkolwiek sposobem grosza przy-

sporzyć, każda praca dobra. Mamy naszego chłopca w szkole w Iczynie, więc trzeba dla niego składać, nieraz fajka i tabakierka musi sięńczy oszczędności... Ale prawda, myśmy jeszcze nie zażyli tabaczki!

Wziął z półek okrągłą tabakierkę i podawał ją gościom.

Obydwaj zażyli. Czermak wziął tylko w końce palców, Czeszka więcej, pan pryncypał zaś nabrał sporo i z lubością zażywał.

Gospodyni postawiła przed każdym ciemny garnek, nakrajany chleb domowy i talerz ze szmalcem i zaczęła częstować:

— Jedzcie, proszę, jedzcie!

Pomocnik, trzymając ręce na kolanach, siedział wciąż zadumany, stryj się wymawiał.

— Ale pocóż się tak szkodujecie?—dodał.

— Bądźcie już cicho, jedzcie i chleb smarujcie!

— A któżby chleb smarował — wesoło powiedział Czeszka—to tylko Niemcy w górach smarują, ale u nas w kraju za nic i niktby do kawy nie posmarował chleba szmalcem. Co prawda, to my rzadko pijamy kawę, tylko w święta.

— I my podobnie. A jeśli pan nauczyciel smakosz, źle mu u nas będzie — pytająco spoglądając na pomocnika, mówiła gospodyni.

— Naszą zwykłą potrawą są kartofle, zwane „codziennymi”—roześmiał się nauczyciel. — Jednego dnia jemy je całe z masłem i twarogiem, drugiego krajemy, trzeciego rozcieramy na kaszę. Cóż na to poradzić, że człowiekowi jednostajna potrawa nie smakuje, trzeba więc rozmaicie przyrządzać...

— U nas tak samo robiono — ze śmiechem powiedział Czermak.

— I gdzieindziej również — dodał pryncypał.— Zawód nauczycielski jest zaszczytny, ale, niestety, nie-

rozłączny z biedą! A co, bracie, czyś także muzykant?...

Pomocnik kiwnął głową.

— Doskonały muzykant — oświadczył Czeszka, a rozwarłszy szeroko oczy, objaśniał dalej: — Na skrzypcach gra, niby kapelmistrz, śpiewa jako anioł, a w grze na organach jest również mistrzem...

— Gdybym nawet nie znał stryja Czeszka, domyśliłbym się, że pochodzi z „Chwalb” — żartował preceptor.

— Mówię tylko prawdę — rzekł Czeszka i żuł dalej bezzębnymi dziąsłami kawałek chleba.

— Jestem rad, żeś się, bracie, do nas dostał; Bóg da, będzie nam z sobą dobrze! Dla każdego jestem życzliwym, byłem w nim nie dostrzegł obłudy. Nienawidzę fałszu, blagi i zarozumiałości, a nadewszystko cenię prawdę i szczerść; gdyby kto w imię jej powiedział: zdejmi z siebie surdut i daj mi go, chętnie bym to uczynił.

Żona nauczyciela stała w drzwiach z założonemi rękoma i milcząc, przysłuchiwała się rozmowie.

Czeszka uderzył łyżeczką o dno garnka.

— Niech wam Pan Bóg stokrotnie zapłaci, na mnie już czas, muszę wracać do domu. Bądź zdrow, Karolu, nie tęsknij, a gdy będziesz mógł, zajrzyj do babki... Wiem, że biedna starowina po całych dniach modlić się będzie za ciebie i wspominać cię bezustannie... nie dziwnego, wszak została się sama jedna, samiućka...

— A co będzie z ojcem, matką? — skwapliwie zapytała pani, spoglądając na pomocnika.

— Nie mam ich — odpowiedział cicho, patrząc w ziemię.

— Karolek jest od lat trzech sierotą. Ale nie troszcz się, nie damy babce umrzeć z głodu — mówił Czeszka, wychodząc z pokoju.

Wszyscy go wyprowadzili do sieni. Stanęli na schodkach: Czeszka, zdjawszy z konia derkę, składał niedojedzony obrok, a pan nauczyciel, zakreślając ręką koło, zwrócił się do Czermaka:

— Tak, chłopcze, tu teraz twój dom; niewielki to kąć, ale jesteśmy tu na kresach, na straży!

Zachód cały gorzał równym, purpurowym promieniem, w środku którego widniała żarząca, czerwona kula słoneczna.

W prawo, na odłamie góry, przez gąszcz leśny przedostawały się ogniste smugi i zdawało się jakoby z wierzchołków białych drzew spływały strumienie krwi. Nad południowem wzgórzem rozciągała się ołowiana chmura i płynęła, jakby jakiś potwór, koło jego ciała rozwiewały się poły płaszcza, rękę miał wyciągniętą w kierunku słońca, jakby je chciał pochwycić w dłoń i zmiążdżyć... Za chwilę jednak ciało to rozpląnęło się w kawałki, przez które przedostało się czerwone światło zachodu. Okna chat zaczerwieniły się i zajaśniały mocno, a pnie drzew rzucały długie, wązkie cienie na śnieg zaróżowiony.

— Wio, mała, wio! Zostańcie z Bogiem, bądźcie zdrowi—żegnał Czeszka pozostałych.

— Odprowadzę stryja do lasu—rzekł pomocnik.

— Idź, idź, bracie, i tak ci potem będzie smutno—zachęcał nauczyciel.

Pani domu, podając wieśniakowi rękę, rzekła serdecznie:

— Jedźcie z Bogiem, a starą babcie proszę pozdrowić i powiedzieć jej, żeby się o nic nie troszczyła.

Wieśniak wcisnął czapkę na uszy, obwinął się szalikiem i pojechał.

Mieszkańcy szkoły przeprowadzali ich wzrokiem.

— Chwała Bogu, to jakiś dobry człowiek—przemówiła żona.

— Zdaje się — potwierdził nauczyciel, a wzięwszy fajkę, stojącą dotąd w sieni, zaczął ją zapalać.

— Taki łekliwy, jako jagnię — ciągnęła, smutnie w dal patrząc.

— I przeszedł też wiele...

Pomocnik Czermak przeprowadził aż do lasu swego rodaka, wieśniaka lanskiego.

Przy pożegnaniu zapłakał.

— Nie płacz, Karolku, nie płacz! Cóż robić, iuaczej być nie może. Da Bóg, przywykniesz prędko, a przecież nie pozostaniesz tu wiecznie. Jeśli ci będzie dobrze, weźmiesz do siebie babkę, choć i myśmy bardzo jej radzi. Przebywać będziesz między zacynymi ludźmi, a skoro do nas wrócisz, będziesz prawdziwy „dauczaky” — mówił wolno Czeszka.

Cheiał rozweselić młodzieńca, ale mu się to nie udało.

— Niech cię Bóg prowadzi, a pozdrów wszystkich w domu — szlochając, wyszeptał pomocnik i ze łzami w oczach uścisnęli się za ręce serdecznie.

Koń skręcił do lasu, sanie ruszyły i skryły się w ośnieżonych gałęziach drzew. Stryj Czeszka jeszcze raz ukłonił się na pożegnanie i zniknął.

Pomocnik stał przez chwilę, jak zakłęty. Nie widział czarownych smug zimowego, zachodzącego słońca, które się układały na pochyłości gór i ciemne bory; nie czuł wcale zimna — był jakby rażony piorunem.

Rozumiał, że rozpoczyna nowe życie — nieznane. Łzy mu znów napełniły oczy; przybywszy do pierwszej chaty, otarł je szybko.

Dziad, który przed południem wskazywał im szkołę, chodził koło domu i czekał na niego.

— Toż się już pan „pereceptor” rozgościł? — pytał krzykliwie.

Czermak, ukłoniwszy się, kiwnął głową.

— Zdaje mi się, że panu tęskno... tak to zawsze bywa. No, no, czemuż rozpaczać, przecież tu nie żyją ludożercy, a i na chleb można zapracować, zwłaszcza, jeśli pan pereceptor dobry muzykant, a jest nim napewno. Nasze dzieci przybiegły, jako opętane, a opowiadały, iż pan pereceptor taki młodziutki, taki piękny!

Pomocnik słuchał smutnie, milcząc i patrząc w ziemię.

— Proboszcz jest nam nie obcy, pan kantor także, bo niedaleko ztąd pochodzi. A żona, to pani, rodem z tamtej chałupy pod lasem, w której teraz mieszka jej ojciec bez troski żadnej. Ma jeszcze siostrę, również za nauczyciela wydaną, miały szczęście obie dziewczyny. Nasza pani była tam u niej i nabrała trochę ogłady, choć jaka to ogłada może być w naszych górach! Potrafi ona przygotować wszystko na odpust, a pozatem pracuje, jak i my, idzie w pole z nami. Poprzednik pana był trochę odludkiem: z ludźmi prawie nie rozmawiał, nie pozdrowił człowieka, zaledwie odpowiedział na zapytanie. I cóż to był za nauczyciel i kierownik młodzieży, który jej dawał zły przykład! Nasz stary jest dobrym muzykantem, chociaż wogóle nie wiele się uczył; skrzypce naprawi, choćby je na sto kawałków rozbić. A zkąd rodem, śmiem pytać?

— Jestem z Lan, tam za Paką—powiedział pomocnik, uchylając kapelusz.

Starzec przybliżył się do młodzieńca, uchwycił go za rękaw i dalej prawił:

— Tam jeszcze nie byłem, choć znam kawał świata, ale w Horzycach pracowałem. Mieszkał tam niejaki Kazimierz Brzezina, może go pan zna? Małego wzrostu, z wąsami, kłął wszystkimi językami, jakie były używane przy budowie wieży Babel. Wtedy to były dobre czasy: można było wiele zarobić pie-

niędzy i wiele za nie kupić, lecz po tym „patencie” ¹⁾ z roku 11 wszędzie zapanowała bieda.

— Tak, niech wam Bóg da noc dobrą — żegnał się pomocnik, starzec jednak towarzyszył mu jeszcze.

— A cóż ojciec, matka?—ośmielam się pytać.

— Jestem sierotą od dzieciństwa, dziadek mój był nauczycielem w Lanach, niedawno umarł, dlatego musiałem iść w świat.

— Dlatego... dlatego... to bolesne! A cóż babka żyje, zdrowa?

— Babka została tam sama.

— Życzę wam szczęścia, panie preceptorze, dobra noc! Gdybyś pan przechodził kiedy tędy, proszę wstąpić do nas, do Roubalów. I ja też chodziłem ongi z muzykantami i nie ladajako trąbiłem, ale teraz już zębów nie mam i usta się zapadły. No, dobrej nocy! Muszę opowiedzieć w domu jakim pan jest „do ludzi”—i starzec oddalił się szybko.

Słońce już prawie zaszło, a skłon lesisty tworzył długi cień, obejmujący chaty i baraki. Od północy zerwał się wiatr zimny.

Pryncypał znów przed drzwiami czekał na pomocnika.

— Zdaje mi się, że cię upolował Roubal?—pytał się.

— Upolował — z uśmiechem potwierdził Czermak.

— To niepoprawny, wciażby tylko gadał; ręczę, że się pytał o cały rodowód.

Pomocnik się roześmiał.

— Wszak zgadłem. No, teraz już pan możesz pójść do swego pokoju, żona go uprzątnęła.

¹⁾ Patent — rozporządzenie z 1811 r., na mocy którego papierom pieniężnym przyznano tylko piątą część ich wartości nominalnej.

Weszli razem do izdebki.

Łóżko było zasłane i przykryte, na stole leżała serweta, w piecu się paliło, a po pokoju rozchodziła się woń smoły.

— Tu ciepło!—zauważył pomocnik z zadowoleniem—ale i drzewa dużo wyjdzie—dodał, spoglądając na nauczyciela.

— Dzięki Bogu, mamy dosyć drzewa, więc się o to nie troszcz.

Czermak zdjął zwierzchni surdut, powiesił go na wieszadle przy drzwiach; starszy nauczyciel, oparty o drzwi, palił fajkę.

Pomocnik zbliżył się do okna i wyjrzał przez nie.

— Ztąd nic nie widać, prócz cmentarza i wieży z zegarem, a on idzie różnie. Gdy się kościelny i grabarz upiją i on jest pijany.

Skoro się pomocnik odwrócił, nauczyciel zauważył łzy w jego oczach.

— Więc ci, biedaku, nie dali szkół ukończyć? Jak daleko byłeś posunięty?—pytał troskliwie.

— Byłem w poetyce, w Iczynie.

— Ah, ah! i nie miałeś środków?...

— Nie. Dziadek nie mógł już sam podołać, wezwał mnie do siebie i przez trzy lata mu pomagałem.

— Choć ci rad jestem, ale czyż nie mogli ci dać coś odpowiedniego na wikaryacie?

— Podobno nie takiego nie było, a do Lan przybył stary z Wrześnika, tam znów ktoś z okolicy. Trzy lata pracy przy dziadku nie były mi należycie wliczone. Niepodobna było dłużej czekać, ucieszyliśmy się bardzo, dowiedziawszy się o tutejszej posadzie—smutnie opowiadał.

— Przestań już mówić, przestań! Praca twoja nie przepadnie, zobaczysz. Pójdę teraz do siebie, a ty się rozpakuj zupełnie. Gdy podadzą wieczerzę, to cię zawołam. Zostań z Bogiem!

Pryncypał skierował się do swego pokoju.

— Cóż on mówi?—zapytała żona.

— Płacze.

— I zostawiłeś go samego w smutku?

— Niech się wypłacze, byłoby gorzej, gdyby się wstrzymywał. Ból uzewnętrzniony staje się lżejszym.

— Może przywyknie?

— To straszne dla takiego młodego! Musiał przerwać naukę w najlepszej porze, środków nie miał. Rozumiem doskonale. Gdybyś nie miała chałupy, po mojej śmierci byłoby to samo z naszym Wacławem. Ah, nauczyciele będą jaśnieć, jak gwiazdy... ale... chyba po śmierci—cierpko powiedział nauczyciel.

Siadł następnie przy fortepianie i grać zaczął. Równocześnie z akordami, smętnie drgającymi, rozległy się rzewne tony narodowej pieśni:

Żyj szczęśliwie w domu tym.

II.

Skoro się w piątek przebudził preceptor pozdietyński, przez okno jego pokoiku przedostał się pierwszy brzask poranku. Przeciągnął się i szybko wyskoczył z łóżka. Było kwadrans na siódmą. Prędko wciągnął spodnie, na nogi pantofle i umył się porządnie w glinianej miednicy. Włosy uczesał gładko, przedzielając je na połowę, zawiązał krawat, włożył kamizelkę i klękawszy przy łóżku, zaczął się modlić serdecznie. Zmówił wszystkie modlitwy, jakich go babka w dzieciństwie jeszcze wyuczyła, a które odmawiał potem w domu głośno, pocichu w szkole. Przeżegnawszy się, wstał i cicho wyszedł do sieni.

— Dzień dobry! już się pan wyspał? Proszę, niech pan pozwoli do pokoju, czekamy na pana oddawna — wołał kantor z podwórza, wychodząc z obory i obserwując ubranie, zanieczyszczone sianem.

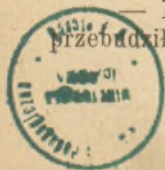
— Dzień dobry — odpowiedział pomocnik, podając mu rękę.

— Dziś jest wietrzno; zaraz wczoraj przepowiedziałem po tak pięknym wieczorze. Krwawy zachód słońca bywa zwykle zapowiedzią silnego wiatru.

Gdy wchodzili do kuchni, pytał się nauczyciel:

— No, jakże ci się spało, mój bracie?

— Dziękuję, bardzo dobrze, ani się razu nie przebudziłem i nic mi się też nie śniło.



— Młoda krew! Choć i o sobie muszę powiedzieć, że tak sypiam, jakbym pokonał Turków, zdobył grób Chrystusa.

Na stole były już przygotowane dwa gliniane talerze głębokie, z nakrajanym w drobną kostkę chlebem; pani domu nalala na to wrzącego mleka i nauczyciele, po odmówieniu krótkiej modlitwy, zabrali się do jedzenia.

W sieni dały się słyszeć kroki, wolno drzwi otwierając, wszedł niemi zgarbiony siwy starzec, o twarzy mocno pomarszczonej. Rozpięte miał palto, z pod którego wychodził zniszczony szal, na nogach szerokie spodnie i przydeptane trepcie.

— Dzień dobry, błogosław Boże!—witał drżącym głosem.—A, to nowy pan pomocnik, pięknie witam, szczęście Boże!—szeptał, jakby do siebie.

— To nasz Lusztinic—objaśnił nauczyciel—dobry kalikancista; będziecie razem grywać.

Pomocnik podał mu rękę.

Starzec potrząsnął nią kilka razy, a wzięwszy pęk kluczy, wiszący na gwoździu, zamruczał:

— No, no, pójdę naprzód—i wyszedł.

— To dziwne, że się nie pytał, co się panu śniło—zauważyła Kantorowa.

— Anibyś pan nie uwierzył—podjął znów nauczyciel—że ten człowiek miał kiedyś dom, a wszystko przegrał z żoną na loteryi. Przez kilka lat trzymał po 21 losów, a sam się przyznaje, iż na tę zachciankę stracił przeszło 1,000 guldenów, wciąż jednak grał, dowodząc, że przecież kiedyś musi mu wyjść główny los. Tymczasem wszystko stracił i drugich pozarywał. Teraz oboje z żoną odmawiają pacierze na pogrzebach, chodzą po kołędzie. Jestem przekonany, że każdy grosz uskładany znów na loteryę wydają.

— Dlatego więc dziwiło mnie, czemu pana pan sen nie zapytał.

— On już niechętnie zaczyna o loteryi. Na szczęście, dzieci im poumieraly, teraz przeklinałyby rodziców własnych.

— To maniak—dodał pomocnik.

— Maniak... ej, każdy pragnie być bogatym, czyż nie tak? Ja zawsze powtarzam: Błogosławieni ubodzy. Bo czyż bogaci mają różami usłane życie? Weźmy ten przykład: jakże oni muszą długo jeść! Ja sam, gdy dłużej jem mleko kwaśne, czuję ból w ręce, dlatego to wolę je nieraz wypić już, byle prędzej skończyć. Nieszczęśliwy bogacz je od rana do nocy, nic nie robi, a wciąż narzeka na zmęczenie; z ociężałą głową spać się kładzie do łóżka, aby przebudzić się rano z głową, ważącą centnary; wstaje i zaraz się złości, a nieraz wścieka, jako lew, i przeklina zawsze biedaków.

— No, no, ojczulku, ty znów prawisz kazanie—zaśmiała się pani.—Strofowanie, to jego słabostka, na której używa, znalazłszy powolnych słuchaczy.

— Masz rację!—wesoło zawołał nauczyciel i dodał:—No, już pójdziemy!

Skurczeni, zmierzali ku kościołowi.

Po niebie rozsuwały się szmaty chmur, goniąc się wzajem. Drzewa uginały się, z lasu dochodził szum, chrzęst gałęzi, świst wiatru; dachy chałup trzeszczały, chorągiewka na kościele skrzypiała. Powietrze było ostre, przenikliwe.

— Dziś w górach prawdziwa Syberya, zawsze jednak lepiej tu u nas, bracie, niż gdzieindziej. Doświadczyłem ja tego raz jeden, a choć wówczas krążyła we mnie krew młoda, gorąca, myślałem, że ducha wyzionę. Byłem tylko w Nowym-Swiecie¹⁾, a co dopiero się działo tam dalej, w tych biednych lepiankach! Las cały trzeszczał, chwiał się, a ja lękałem

¹⁾ Nowy-Swiat—miasteczko w okręgu Iczyna, na północnymschodzie Czech.

się nawet obejrzeć, wyobrażając sobie, że lada chwila wszystko to runie... Tymczasem, ani się jedno drzewo nie przewróciło.

Doszli do cmentarza, pośrodku którego stał kościół w stylu romańskim; dach na nim pobity był świeżo gontami, ale ściany brudne, mchem porośłe. Cmentarz rozciągał się na wzgórzu, u stóp jego stała stara, waląca się już kostnica, w niej przechowywano mary, zniszczony całun marny, narzędzia grabarskie, w głębi zaś mieścił się niewielki ołtarzyk i stos kości.

Przy kostnicy zatrzymał się pan nauczyciel dla chwilowego odpoczynku, chroniła ona bowiem od wiatru.

Pomocnik rozglądał się po zasypanym śniegiem, pełnym grobów, cmentarzu. Na niektórych widać było staranną opiekę: miały boki odarniowane, sterczały tam jeszcze suche, połamane badyle kwiatów, teraz przyprószone śniegiem i pokryte szronem; inne wypukłały się wyraźnie, inne jeszcze zaledwie były widoczne.

Tu i owdzie wznosiły się pomniki. Stały tam dwa anioły: jeden z ręką wzniesioną w górę, drugi w opuszczonej ku ziemi trzymał gorejącą pochodnię. Anioły te były bardzo rozrośnięte, silne. Tu znów sterczał gotycki pomnik, z mocno otłuczonymi ornamentami, owdzie nadgrobek ze statua św. Franciszka, o twarzy gładkiej, przez deszcz już zniszczonej. Był tam również posąg Chrystusa zmartwychwstałego, z chorągwią w ręce i kilka drewnianych, kamiennych, lub żelaznych krzyży z napisami.

Nauczyciele bardzo zgięci, pośpieszali na chór, do którego było wejście z lewej strony od drzwi głównych. Po skrzypiących schodach, przechodząc koło drzwi, prowadzących na dzwonnice, dostali się na chór, przedzielony na dwie części. z organami pośrodku. Nad niskimi drzwiczkami, na prawo, umieszczony był,

a dziś już porządnie przyciemniały napis: „Chór dla muzykantów;” na lewo drugi: „Chór dla śpiewaków.”

Lusztinec klęczał za organami, przy sznurach od miechów; schyloną głowę oparł na swych pomarszczonych, złożonych rękach.

Modlił się półgłosem, nie zwracając na nikogo uwagi.

Z kościoła dochodził śpiew dwóch męskich głosów; to śpiewali członkowie chóru kościelnego: Szkmorzył i Petruszka. Siedzieli na pierwszej ławce, obok organów; na pulpicie leżał przed nimi kancjonał czeski: „Rajski słowiczek.” Kiedy było trzeba wziąć wyższą nutę, obadwaj przymrużali oczy, a głowy ku ramionom pochylali. Petruszka ku prawemu, Szkmoszył ku lewemu ramieniu.

Szkmoszył był małego wzrostu, krępy, o siwej głowie. Cała jego postać tonęła i ginęła w obszernym, granatowym płaszczu, z kilku pelerynami, żółtą sprzączką spiętym. Jęczał on tenorem.

Petruszeko przeciwnie, odznaczał się wysokim wzrostem. Rzadkie włosy opadały mu na kołnierz kożucha, którego oblamowanie wytarło się zupełnie. Długie, silne nogi obute miał w buty o wysokich cholewach. Śpiewał zwykle ochrypłym basem.

Kantor, przeżegnawszy się, szepnął pomocnikowi:
— Ta para śpiewaków nieraz się rozgniewa.

Ściany kościoła były tylko obielone, ale trzy ołtarze gustownie i świeżo odnowione. Między świecami stały bukiety ze sztucznych białych i czerwonych róż, na poduszce wyszyte były kwiaty, jak również i na pięknym antypodyum. Wszędzie wogóle widoczną była staranność i piecza o czyste utrzymanie świątyni. Nigdzie nie dojrzałeś pyłu, ani pajęczyny.

— Ładny kościółek — rzekł pomocnik.

— Nic dziwnego. Proboszcz dba o porządek,

a panna Pepiczka ¹⁾, gospodyni, myśli tylko o tem, czemby kościół przybrać. Kościelnemu też nie wolno zasypiać sprawy. Ale, którą pieśń zagrasz, bracie?

— Jeśli mogę wybierać, to wezmę „Potężny Stwórco” — odparł pomocnik, patrząc serdecznie na kantora.

— Hm, hm, to niby nie idzie, to nie po porządku, dzisiaj mamy piątek, post, no... zresztą, na pierwszy raz wybieraj, co zechcesz; w innym wypadku nie darowaliby ci tego staruszkowie. My już mamy cały plan tygodniowy i tak: w poniedziałek „Przed Twym majestatem”, we wtorek „Potężny Stwórco”, w środę, w poście „Dosyć człowiecze”, w czwartek „Tobie się kłaniamy, w piątek „O najśłodszy Jezu”, w sobotę zaś którą z pieśni na cześć Maryi Panny, w niedzielę znów postną, w święta zato urządzamy śpiewy chóralne — mówił nauczyciel, na palcach wyliczając.

— Wszystkie te pieśni umiem doskonale, lecz gdyby pan pozwolił...

— No, już niech tak będzie. Śpiewacy wskażą ci, w jakim tempie masz śpiewać.

W kościele było zaledwie paru starszych ludzi. Po prawej stronie siedzieli mężczyźni, po lewej kobiety.

— Ci tutaj codziennie bywają — wskazując z chóru, ciągnął nauczyciel — a wszyscy oni bardzo biedni. Ten przygarbiony, to brat starosty, kontroler, nie-szczęśliwy człowiek, bo mu rozumu brakuje.

— Biedak! — rzekł pomocnik.

— A! — Albinka przyszła, to i pan proboszcz pewnie już w zakrystyi.

W tej chwili właśnie ukazała się dziewczyna w kościele; umoczywszy palce w święconej wodzie, przeżegnała się i usiadła w ławce opodal drzwi od

¹⁾ Pepiczka, zdrobniące imię Józefa.

zakrystyi. Na głowie miała ciemną, wyszywaną chusteczkę, zawiązaną pod brodę, ubrana była w obcisły zielony kaftan, oblamowany futrem.

Obejrzawszy się na chór, z uśmiechem kiwnęła głową nauczycielowi.

Nauczyciel oddał jej ukłon.

— Pepiczka z plebanii ma brata Podzimka w Wietrowie, Albinka jest jego córką; wzięła ją do siebie, aby rozweselała proboszcza — objaśniał kantor.

Dzieweczka otworzyła książkę do nabożeństwa, zaczęła czytać, ale znów się na chór spojrzała. Skończono śpiew i Petruszka z ukłonem podszedł do pomocnika.

— Witam pana preceptora, witam! — śmiał się, ukazując jednocześnie swe białe zęby i podawał rękę młodzieńcowi. — Będziemy więc razem śpiewali, tylko dopraszam się, by pan nie przeciągał przegrywek zbyt długo. My lubimy wszystko prześpiewać, bo jakże to chwala Boga, gdy się do końca nie dośpiewa!

— Z początku pewnie się nie zgodzimy, no, ale jakoś to później będzie; pilnie będę śledził za panem — z uśmiechem odparł pomocnik.

Twarz Petruszki rozjaśniła się.

Czermak widząc, że kościelny, siwy, jak gołąb staruszek, zapala świece, zasiadł do organów.

— Dziś „Potężny Stwórco” — szeptał pryncypał Petruszce — prosił mnie o to, drugim razem wszystko będzie po porządku.

Petruszka, kiwnąwszy głową z powagą, szedł do swego towarzysza.

— Toś go ujął i zjednał już dla siebie — eicho mówił kantor do młodzieńca. Ci dziwacy bywają nieraz bardzo poirytowani, zwłaszcza nieznośnym jest ten królik: udaje przyjaźń, a jednocześnie zęby pokazuje.

Petruszka, przewracając kartki w starym, pisanym kancyonale, szukał tej pieśni.

— Czego jeszcze szukasz? — cierpko zapytał Szkmorzyl.

— Młody prosi o „Potężny Stwórco” — odpowiedział basista.

— Cóż to za nowość! Kto to słyszał, w piątek, w poście, „Potężny Stwórco”. — Rozgniewany Szkmorzyl odszedł i oparł się ze złożonymi do modlitwy rękoma.

Kantorzy spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się.

Wtem ministrant zadzwonił, a Czermak uderzył w klawisze.

Petruszka, słuchając muzyki, stał z przymkniętymi oczyma, z głową pochyloną ku lewemu ramieniu.

— Panie, jak to ładnie wychodzi — szepnął Szkmorzylowi, ten jednak zdawał się nie słyszeć.

Również nie przyjmował w śpiewie udziału; śpiewał więc tylko Petruszka, chwilami nauczyciel, z dołu zaś dochodził głos stary z silnego jeszcze męskiego gardła, drugi niewieści, młody i świeży. Wysoki śpiewak wybijał takt swym wielkim, wskazującym palcem, niby dla siebie, ale pomocnik wiedział, że to jest pod jego adresem; nie zwracał na to wszakże uwagi i grał spokojnie starodawną pieśń, pełną głębokiej pokory i wiary w potęgę Wszechmocnego. Grał ją prosto, bez żadnych trelów, skoków, jak to inni czynili.

Patrząc na dół, widział u ołtarza małego księdza o szerokich ramionach, który, obracając się do ludu, rozkrzyżowywał bardzo swe ręce, a przy Podniesieniu wyciągał je w całej długości.

Przy czwartej strofice pomocnik zaczął śpiewać:

...Podnieś rękę Boże Dziecię,
 Błogosław krainę miłą,
 W dobrych radach, w dobrym bycie
 Wspieraj jej siłę swą siłą...

Gdy się tylko rozległy tony pieśni, wszyscy zostali nią przejęci. Szkornym nawet popatrzył na śpiewaka, stary kościelny zatrzymał się na środku kościoła, a spojrzawszy się na pana nauczyciela, uśmiechnął się przychylnie; Albinka również podniosła głowę ku chórom, a ksiądz stał chwilę nieruchomy.

Pomocnik miał miękki głos tenorowy, dziwnie słodko do duszy wnikający, znać było, że odczuwa to, co śpiewa!

Po skończonej mszy proboszcz stanął wprost ludu tak, że dobrze widzieć było można jego twarz pociągłą z wielkimi, czarnymi oczyma. Podniesioną ręką wolno naznaczył nad zebranymi znak krzyża świętego.

Następnie pomocnik zagrał pieśń postną: „Ciesz się Zbawicielu”, a proboszcz donośnym głosem odma-wiał „Ojczy nasz”. Zaledwie kapłan skończył modlitwę za umarłych, rozległy się po kościele tony:

„Daj nam Panie chleba niebieskiego“.

Pomocnik spojrzął się na kantora, a on mu skienieniem głowy odpowiedział.

Ksiądz odszedł od ołtarza i z kielichem w ręce, idąc wielkimi krokami, skierował się ku zakrystyi. Skoro przebrzmiały ostatnie dźwięki organów, Szkornym silnym głosem zaintonował „Najśłodzy Jezu”.

Petruszką słuchał ze zdziwieniem, zwrócił się do kantora i zaczął też śpiewać.

Nauczyciele, przeżegnawszy się, wyszli z chóru.

— Proboszcz ma dobry głos — przemówił pomocnik.

— Tak, panie, ale dopiero go ocenisz, gdy usłyszysz *Ite missa est!* wtedy kościół się trzęsie. A jaki to kaznodzieja! lecz nie jest dobrze widziany przez wikaryat. Na to jednak będziemy mieć jeszcze dość czasu, a teraz pośpieszajmy, żeby nam nie uciekł.

Nauczyciele przeszli przez północną część cmentarza, przylegającą do kościoła, na której były tylko mogiły dzieci, i zoczyli ku plebanii, otoczonej dwoma ogródkami. Na lewo, między śliwkowemi drzewami stały cztery ule, dobrze osłonięte. Na kominie plebanii siedział tłusty gołąb i głośno gruchał.

— Proboszcz ma gołębie? — pytał pomocnik.

— I jeszcze ile, posłuchaj!

Z podwórza dolatywał głos gołębi, gruchających na przeróżne tony.

Nad dachem ukazało się wiele białych, lśniących skrzydeł, zatrzepotały się i szybko furknęły. Przez tę krótką chwilę można jednak było zauważyć, jak gołębie z wiatrem walczyły.

— Nasz proboszcz ma i inne stworzenia boskie: hoduje on perliczki, indyki—nie myśl, że jest smakoszem—nie, on zawsze najchętniej jada mleko kwaśne, a w święta... — Pan kantor zamilkł nagle.

W drzwiach plebanii ukazała się mała, okrągła postać kobieca.

— A, panna Pepiczka! dzień dobry!—pозdrowił nauczyciel i wszedł z pomocnikiem na ścieżkę między ogródkami. — Prowadzę pannie Pepiczce nowego pomocnika — roześmiał się nauczyciel.

Czermak się uklonił i chciał ucałować rękę gospodyni.

— To zbyt uczynne, to zbyt uczynne, młodzieńcze — zawołała z uśmiechem i silnie uściśnęła jego rękę. — Doprawdy, pan preceptor wygląda jak chłopaczek! Witam pana, witam! proszę dalej.

Pepiczka liczyła lat czterdzieści, była ruchliwa, a na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie bardzo poczciwej. Czarne włosy gładko zaczesywała nad uszami, wiążąc je z tyłu; twarz miała okrągłą, pomarszczoną, oczy czarne, żywe, wąskie usta i brodę z małym dołkiem. Ubrana była w czarny kaftan,

przepasany fartuchem, wełnianą spódnicę i granatowe pończochy i trzewiki.

Skoro weszli do sieni, Pepiczka ich wyprzedziła i wołała:

— Chodźcie moi ludzie, chodźcie, u pana proboszcza jest tam ktoś, musicie więc zaczekać na niego, a najlepiej w kuchni, bo tu ciepło.

Kantorzy szli poważnie: starszy najpierw, młodszy szedł za nim ostrożnie na palcach, jakby stąpał po błocie.

Gospodyni pierwsza weszła do kuchni, pośpiesznie wytarła dwa krzesła, stojące przy długim stole kuchennym, i podając je gościom, zawołała:

— No, siadajcież panowie, siadajcie, nie stójcie przy drzwiach, bo przecież nie jesteście śpiewakami wędrującymi.

— To prawda, zaraz też siadam — wesóło odpowiedział nauczyciel i przeszedłszy trzy kroki, usiadł na krześle.

Pomocnika musiała Pepiczka siłą prawie posadzić.

— Doprawdy, pan preceptor takie ceremonie robi! Biedaku, toż cię wiatr aż do nas zapędził, nie wiem, czy prędko pan przywyknie do naszych gór i lasów, zima tu ciężka, a przecież to nie miasto —

— Wszak i pan brat nie pochodzi z miasta — rzekł nauczyciel i zaczął opowiadać wiadome sobie szczegóły z życia pomocnika.

Czermak tymczasem siedział cichutko, w sufit zapatrzony. Gospodyni pilnie słuchając, wydawała okrzyki zdziwienia i współczucia i ciągle rozkładała i składała ręce.

— Boże, Boże, toż życie ciężkie — westchnęła przy opowiadaniu nauczyciela, który tak skończył:

— Ostatecznie tu nie jest tak źle, zwłaszcza jeśli Bóg zdrowie daje; toż i gospodarstwo miłą sta-

nowi rozrywkę. My z żoną spokojne prowadzimy życie, czasem się posprzecząmy, ale nieszkodliwie, więcej dla śmiechu. Alboż to nie jesteśmy między swymi ludźmi, czyż z nich nie pochodzimy?

— Może panowie pozwolą kwaśnego mleka? — zapraszała gospodyni.

— Bóg zapłać, wyszliśmy z domu po śniadaniu — odparł śpiesznie nauczyciel i zażył tabaki.

— Dziękuję bardzo — dodał pomocnik.

— W okolicy pana pomocnika nie jadają kwaśnego mleka? — zapytała.

— Czemużby nie jadali — uśmiechał się z przy-musem — owszem, miewaliśmy je codziennie.

— Ale w szkołach, na stancyi, kawę piją.

— Ja tam dostawałem tylko obiad, rano i wieczorem jadałem chleb z domu przysyłany — tłómaczył.

— Ubodzy uczniowie otrzymują zwykle darmo obiady — dodał nauczyciel.

— Więc matka tak wczesnie pana odumarła? — smutnie pytała Pepiczka — a ojciec?

Czermak spuścił głowę, zaczerwienił się, odkaszlnął, spojrzął na gospodynię lękliwie i znów oczy spuścił ku ziemi.

— Też nie mam ojca.

— To pan jesteś zupełnym sierotą!

Preceptor potwierdził skinieniem głowy.

— Nie gniewaj się pan na mnie, że cię tak badam. Ale wiadomo, my tu żyjemy, jak na pustkowi, to gdy się kto obcy pojawi, chcemy już o nim wszystko wiedzieć — usprawiedliwia się żywo.

Umilkli. W sieni zabrzmiał śpiew młody i silny:

...Mamaby mnie wybiła,
Żem krów nie napoiła...

Drzwi roztworzyły się nagle i ukazała się w nich Albina. Ubrana była w czerwoną suknię w ciemne

paski, opięty długi stanik, na którym zawiesiła krzyżyk na czarnej wstążce. Wielkie swe błękitne oczy szeroko rozwarła i zarumieniła się, jak mak.

Ręce bezwładnie opuściła i lękliwie spoglądała to na jednego, to na drugiego nauczyciela, wreszcie cicho szepnęła:

— Witam panów... przepraszam... nie wiedziałam...

Pan kantor roześmiał się głośno.

Podczas tego Albina się odwróciła i chciała uciekać, wpadła jednak na wchodzącego kościelnego Dolejsza.

— Ejże, dziewczyno, ejże! — zachichotał siwo-
włosy staruszek i objąwszy ją w pól, obrócił się z nią kilka razy.

— Puszczajcie!...

Wyrwała mu się i umknęła.

— To taki dzikus—usprawiedliwiała Pepiczka.—
Ale co się zachciewa staremu... tańcu w pościel

Kościelny mrugnął oczami, cmoknął i pod nosem mruknął:

— Hm, to trudno, inaczej być nie mogło, skoro taka pliszka wpadła mi w objęcia.

Dolejsz był przygarbiony, z twarzą chudą, pomarszczoną, o wystających szczękach, z nosem małym, czerwonym, oczyma wpadłymi, o niskiem czole. Włosy miał długie, ale rzadkie. Odziany był w płaszcz, do kolan mu sięgający, w kamizelkę na dwa rzędy błyszczących guzików zapiętą. Postać jego zewnętrzna przypominała typ starych księży.

— A, to mamy u siebie tego nowego śpiewaka i organistę — mówił, spostrzegłszy pomocnika. — Aha, to dlatego uciekła nasza pliszka! Muszę wam powiedzieć, panno Pepiczko, że ma on organy w rękach i nogach; pan nauczyciel zadowolony pewnie, bo będzie miał takiego pomocnika, jakiego tu jeszcze nie było. Nie chcę być złym prorokiem, zdaje mi się jednak, że

pan preceptor długo tu nie zabawi—pomału, a poważnie mówił kościelny, z grobowym wyrazem twarzy.

— Dlaczego by miał uciekać?—pytała gospodyni.

— No, powiedzcie... w Pozdetynie... taki szykowny młodzieniec!... ej, prędko on nas opuści. Wczoraj już słyszałem od pani kantorowej, że on posiada wiele nauki, przeszedł kilka klas i mało mu brakuje do zostania kaznodzieją.

Przy ostatnich wyrazach przypatrywał się uparcie pomocnikowi, spoważniał i zrobił bardzo nieszcześliwą minę.

— Wszak pan nauczyciel pracuje tu lat kilka, a nie uskarża się na służbę.

— Tak, tak, ale jemu to łatwiej przychodzi: ma blisko rodzinę, swój domek, pole, a przede wszystkim już jest panem pryncypałem—wykładał starowina.

Wszyscy się roześmieli.

— Przecież pan preceptor nie będzie tu wyczekiwał, aż pan kantor siły swe straci—mówił zgryźliwie, a potem weselej dodał:—Musiałby pan czekać na to długo.

— Naturalnie—potwierdził nauczyciel.

— Jak na teraz, to jestem zadowolony z mej posady, a przyszełe swe losy składam w ręce Boga—spokojnie wypowiedział pomocnik.

— Tak, tak, braciszku, będziemy z siebie zadowoleni. To się rozumie, że wszyscy starać ci się będziemy o jakieś lepsze miejsce, ale wypędzać też nie będziemy, chyba, że przyjdzie do ciebie szczęście; tylko, to bieda, ono tak szybko i na zawołanie nie biega! A ty, dziadziu, powinienes już chyba wiedzieć, iż łatwiej zjeść ćwierć gruszek, niż znaleźć dobrą szkołę.

— Ale taki człowiek, co tak pięknie gra na organach, tyle klas przeszedł—mruzczał staruszek, siadając na białej ławie koło komina.

Pepiczka podała mu garnek kwaśnego mle-

ka, a Dolejsz wylawiał z niego łyżką kawałki ziemniaków.

— To pan proboszcz długie ma posłuchanie — szeptem mówiła gospodyni, a zbliżając się do kantora, dodała:—Są u niego Żalakowie z młyna.

Kiwnął głową i ręką.

— Lamentowali przedemną, opowiadali takie rzeczy, że aż włosy stają na głowie. Boże, co za przewrót u nich w przeciągu jednego roku — biadała Pepiczka.

— I to właśnie u nich, gdzie takie było skąpstwo.

— Najwięcej mi żal tego młodego.

W sieni odezwały się kroki i głosy. Pepiczka zaraz się znalazła przy drzwiach i otworzyła je trochę

— Bóg wynagrodzi wielebnemu ojcu!—dochodził głos stary.

— A proszę się na nas nie pogniewać, nie wiedzieliśmy jednak, co robić, gdzie iść w tem naszym nieszczęściu—brzmiał głos kobiety.

— Miejcie tylko cierpliwość, ludziska, przeciw Bogu nie możemy występować!—rozlegał się głos proboszcza.

— Mamy jej dość, przewielebny ojczy, ale to straszne, całe życie się kłopotalo, biedowało, a teraz trzeba patrzeć, jak obca, tłusta pijawka wszystko z nas wysysa—narzekał wieśniak.

— A ten chłopiec, to jakby nie nasze dziecko, a przecież pielęgnowaliśmy go, niby kwiatek.

— Tylko mi nie rozpaczajcie! przyjdę do was, to zobaczę, co się da zrobić.

— Pokornie prosimy!

— Bądźcie zdrowi, niech was Bóg prowadzi!

Głosy umilkły, brama cmentarna zaskrzypiała, a w sieni dały się słyszeć kroki.

— Nareszcie idzie proboszcz — oznajmiła Pepiczka.

Za chwilę rozwarły się drzwi do kuchni, a w nich ukazał się ksiądz Prokop Stehlik. Był on mężem czterdziestopięcioletnim, małego wzrostu, krępy. Sukienną czapkę z przełamanym daszkiem rzucił na łóżko i przyglądał swe czarne włosy. Miał krótki, niezapięty surdut, czarne spodnie, wsunięte do wysokich, lśniących cholew, kamizelkę zapiętą aż po biały, czysto wyprasowany kołnierz, z wycięciem na przodzie.

Czarne oczy wlepił w obecnych, a gładził wciąż swe policzki.

Nauczyciele powstali.

— Wielebny panie, przyprowadziłem swego nowego pomocnika, Karola Czerbaka — rzekł starszy.

Proboszcz przypatrywał się pomocnikowi, kłaniającemu się z zakłopotaniem, mierząc go od stóp do głów. Następnie sięgnął do kieszeni, wyjął z niej tabakierkę i w milczeniu częstował tabaką kantora i preceptora, sam zaś zażył taką dozę, że nos drgał mu długo, wreszcie obtarł się niebieską chustką od nosa i po tej manipulacji podał dopiero rękę pomocnikowi, mówiąc z powagą:

— Witam cię, Słowianinie!

Pomocnik chciał mu rękę pocałować, ale cofnął ją śpiesznie.

— Chodźcie, chodźcie do mej rezydencji. Pepiczka przyniesie nam kwaśnego mleka — wyrzekł i wysunął się naprzód.

Pomocnik, wchodząc za proboszczem do jego niskiego pokoju, niemało był zdziwiony rozchodzącym się w niem świergotem i szczebiotem przeróżnych ptaków. Lewa ściana zawieszona była małemi i dużemi klatkami, pełnemi ptactwa; na środku pokoju olbrzymia, zielona klatka, umieszczona była na ciemnej szafce, miejscami już mocno zniszczonej. Na niskiem łóżku i na stopniu klęcznika, zastawionego kwiatami, rozłożone były papiery z najrozmaitszym pokarmem dla ptaków. Było tam: siemię, kasza jaglana, mak,

sucha bułka, pokrajana marchew, pieczona wątroba, borówki suszone i t. d. Na innych ścianach wisiały obrazy olejne, w ciemnych ramach, nad stołem krzyż, a wprawo od drzwi ochrypnięty zegar.

— Ciebie to, bracie, dziwi—mówił z uśmiechem nauczyciel.

— Siadajcie, panowie, siadajcie—zapraszał proboszcz i rozrzucone na starej sofie metryki zgarniał w kąć jeden.

Przyszła i Pepiczka i postawiła kwaśne mleko na stole, założonym książkami, a patrząc na pomocnika wyrzekła:

— Prawda, że bogate mamy gospodarstwo.

Z klatki, stojącej na szafie, odezwał się przenikliwy głos: szpaczek tu, szpaczek tu, a w wielkiej zaś klatce na ścianie wiewiórka z hałasem podskoczyła.

— Gospodarstwo... tak... to jest gospodarstwo... codziennie to słyszę, zaglądając do garnka—śmiały się proboszcz. — Alboż to grzech, że człowieka radują te ptaki, które „ani sieją, ani orzą...”

Pepiczka roześmiała się, machnęła ręką i wyszła. Pomocnik przyglądał się ptakom.

— Czyżyk, szczygieł, drozd, a tego nie znam—mówił do siebie.

— Ikawiec ¹⁾, Franciszku, ikawiec gość górski, a ten to gil, jeśliś nie był w górach, to go nie widziałeś—objasniał kapłan, zwracając się ku klatkom, a przytem jedząc z garnka, który trzymał w lewej ręce.

— Brat pochodzi z Lan z za Paki, w Iczymie był już w poetyce, ale gdy dziadek jego, nauczyciel, zaniemógł, musiał wszystko opuścić i podążyć mu z pomocą—wmieszał się pan nauczyciel.

¹⁾ Ikawiec—ptak górski północny, przelotny; podobny do kwiczola.

— Hm, hm!... z Lan, a dziadek też Czermak?— marszcząc czoło, zapytał proboszcz i garnek postawił na stole.

— Tak, wielebny panie!—potwierdził preceptor.

— Hm, hm! a co się dzieje z ojcem, z matką?— zukosa patrzył na młodzieńca.

— Już ich nie mam od dzieciństwa — patrząc trwożnie na proboszcza odpowiedział i spuścił głowę ku ziemi.

— Hm, hm! — mruzczał kapłan i po chwili milczenia mówił z przerwami: — Tak, z Lan... tam pojawia się czasami gil, a ten, to stara wilga, ma przeszło dziesięć lat. A czy znasz tego ptaka obok? — i nie czekając na odpowiedź, prawił dalej:—Ten ptak, to krzywo-dziób. Jak mówią, Chrystusowi, wiszącemu na krzyżu, wyciągał gwoździe z ran, aż mu się od tego dziobek skrzywił!

I znów się przypatrywał zmieszanemu pomocnikowi, który, wstawszy, podszedł do klatek.

Nagle roześmiał się proboszcz wesoło.

— A tośmy się wszyscy dobrali: Czyżyk, Czermak i Stehlik! ¹⁾), jakbyśmy się w kocu maku szukali. Sprawieś mi wielką uciechę, Franciszku, bo umiesz Boga chwalić. Teraz sobie ułożymy kwartet, jakiego niema w całej okolicy i będziemy tak śpiewać, że aż sucha lipa w Nymburku zazielenieje.

— Teraz to już dobrze pójdzie, bo dotąd brakowało nam zwykle tenora — przyświadczył nauczyciel.

— I „beseda” się urządzi... muzyka, śpiew, deklamacja.

Pomocnik przypatrywał się jeszcze ptakom.

— Te wszystkie, to moi rodacy, wszystkie z na-

¹⁾ Czyż, zięba, szczygieł.

szych lasów, wierne to człowiekowi, a nie fałszywe—
tłómaczył mu proboszcz.

— A ten szpaczek? — z uśmiechem zauważył
młodzieniec.

— To straszny grymaśnik, ale po za tem dobre
stworzenie; najwięcej zawsze mnie ubawi, kiedy, wy-
puszczony z klatki, chodzi po podłodze i każdą szcze-
linkę przegląda, kręcąc pociesznie swą makówką.

— Nasz proboszcz lubi każdy twór boski: ptaszki
w klatce, gołębie, kaczki, kury, pszczoły w ulach,
a jak ludzi lubi, sam się przekonasz—wykładał kantor
pomocnikowi.

— Przestań, bracie, przestań mnie chwalić! Ale
cóż tam z pszczołami?

— Bieda, bieda! Jeśli to prawda, że pszczoły
wyprzedzają o rok ludzi, to źle będzie. Giną marnie
z głodu; zaczęły ginąć w wyższym młynie, następnie
u krawca Poliwiki, Adam Hejnow stracił dwa roje,
a na Bukowinie zmarniało przeszło dwadzieścia uli.
No, moje ule: Jungmann, Tyl i Szafaszyk trzymają się
dotąd—odrzekł nauczyciel.

— Pan nauczyciel dał ulom nazwiska naszych
wielkich działaczy, patriotów Słowian, piękna to myśl,
piękna! — mówił kapłan.—No, Franciszku, co porabia
Szyr, Machaczek ¹⁾, obaj poeci, a co stary Dobrosław
Peterka? Tęga to głowa, tęga głowa ten Peterka,
a do tego, moi przyjaciele, Słowianin!

Proboszcz oczy miał szeroko rozwarte, opowiadał
z przejęciem zażywając tabakę.

— Ubranie obszarpane, kapelusz połamany, oku-
lary pokrzywione, ale co głowa, to głowa! — prawił
dalej.—A jaka niewyczerpana w nim uczynność! Ileż
on ma chrześcijańskiej miłości dla naszych biednych
chłopców! Sam je chleb suchy, byle módz pomagać

¹⁾ Ówczesni nauczyciele w Iczynie.

biedniejszym, rozdaje wszystko obiema rękoma, ale w cichości, bez rozgłosu, którego nienawidzi.

— Patryota—tkliwie rzekł nauczyciel.

— Patryota... Słowianin... i jeszcze jaki! Nie rozprawia o tem, nie lamentuje, nie narzeka, lecz wszystko to tkwi w jego sercu, gdzie brzmia dźwięki dzwonu zmartwychwstania! — prawil głośno kapłan, uderzając się ręką w piersi.

— Gdybyż takich więcej było! Nasz Wacław wciąż o nim opowiada—dorzucił kantor.

— Bracie, jest ich więcej, jest wielu! Nie godzi się rozpaczać, powątpiewać o narodzie! A więc w poniedziałek już zaczniemy, przyjaciele, w niedzielę to opublikuję.

— Tylko przy tych zaspach śnieżnych, to ciężko pójdzie—odezwał się nauczyciel.

— Powinniście robić tak, jak umiecie—z uśmiechem rzekł proboszcz,

— Postaram się — serdecznie przemówił pomocnik, patrząc trwożliwie na kapłana.

— Tak, panie Franciszku, przy twej wiedzy wszystko dobrze pójdzie; tak pięknie śpiewasz, młodzieńcze. Wkrótce zrozumiemy i polubimy się wzajem, z panem kantorem żyjemy życzliwie. Tylko proszę, pamiętaj, że drzwi plebanii są zawsze otwarte. Przychodźcie do mnie obaj, pogawędzimy trochę; a ty, młodzieńcze, bądź szczerzy, gdyż proboszcz pozdietyński jeszcze nikogo nie okłamał, ręczę sumieniem! A teraz muszę skończyć pisać urzędowe wykazy dla wikaryatu. Patrzcie, piszą mi po niemiecku... Nieboszczyk wikary, choć to już był zgrzybiały starzec, ale wszystko prowadził w języku czeskim.

— Toż ja zawsze dowodzę, że czem dalej, tem gorzej—zauważył nauczyciel.

— Przestań, przestań, bracie! jeden człowiek nie zagładzi nas. Każda, choćby najsmutniejsza pieśń,

ma swój koniec — uspakajał proboszcz, podając gościom rękę.

— Żegnam wielebnego ojca!

— Całuję rączki—mówił preceptor z ukłonem.

Drzwi zaskrzypiały i nauczyciele wyszli na cmentarz.

— To już odchodzicie?—wołała z kuchni gospodyni.—Proszę żonę pozdrowić!

— Pięknie dziękuję... do widzenia—mówił kantor, a pomocnik się uklonił i poszli dalej.

Wszedłszy na cmentarz, nauczyciel odwrócił się, spojrział na prawe okno i palcem, z uśmiechem na ustach, pogroził. Skoro się pomocnik obejrzał, w oknie dostrzegł jasną główkę i czerwoną szatę.

— No, jakże ci się podobał proboszcz?—serdecznie pytał nauczyciel.

— Bardzo!—odparł zamyślony preceptor.

Pryncypał spojrział na niego z ukosa i milczał.

— Nazywał cię Franciszkiem, to znaczy, że jest ci życzliwym—mówił, wychodząc z cmentarza.

Pomocnik, rozglądając się po dolinie, zauważył:

— Takie zaspę śniegu, jak przed Bożem Narodzeniem.

Potem już w milczeniu doszli do szkoły.

III.

— Wszak podobał się panu nasz kościół? — pytała gospodyni, niosąc ze strychu brzemień drzewa.

— Tak — potwierdził pomocnik.

— Proboszcz wam się podobał, nieprawdaż? A również i panna Pepiczka. Te dwie istoty na to tylko stworzone, aby ludziom dobrze czyniły. Albinika była w domu?

Jednym tehem zadawała pytania.

— Była, była — zamiast pomocnika, burknął nauczyciel.

— Ciebie się nie pytam, pilnuj swego! — zaśmiała się żona, a pryncypał wszedł do obory.

— To są bardzo mili ludzie — stojąc już w sieni, kończyła gospodyni. — Gdy lepiej pan pozna proboszcza, sam mi pan to przyzna. Sprawiedliwy i dobry to człowiek, pewnie dlatego nie dobił się wyższego stanowiska i nie dobieje już nigdy. On nawet jest zbyt dobrym dla drugich. Szczęście, że ma przy sobie Pepiczkę! I ona niczego dobrego w życiu nie znała. Od lat siedmiu mieszkają oni na plebanii, jako piskłeta. Albina rozwesela ich czasem, to poczciewa dziewczeczka. Mój mąż dowodzi, że jej głos podobny jest do tonów srebrnej piszczałki.

— Chodź-że, chodź, trzeba było napaść! — wołał kantor.

Przyjaźnie skinąwszy głową, pobiegła do kuchni; pomocnik poszedł do swego pokoju.

Za chwilę nauczyciel z żoną nieśli ceber, oparty na dragu, z ciepłym napojem dla krów.

Wprost z obory udał się kantor do pokoju swego towarzysza.

A był już bez surduta, tylko w welnianym kaftanie, szczelnie opiętym.

Wchodząc do izby, rozejrzał się w niej, a zażywszy tabaki, zawołał:

— Ładnie masz tu, bracie, ładnie. Co prawda, pokoik ten podobny raczej do klatki, ale i w nim źle nie będzie.

Izdebka była rzeczywiście bardzo zaciszna. Na ścianach porozwieszał pomocnik przywiezione z domu obrazy Świętych, zażółkłą mapkę Królestwa Czeskiego, mały mosiężny zegar, z porcelanowym cyferblatem. Na oknie stał krzyż, z połączoną postacią Zbawiciela, a obok niego pani domu umieściła dwie doniczki z kwiatem muszkatołowym. Na stole porozkładane były paczki książek i zeszytów. Łóżko nakryte było czerwonym, wzorzystym prześcieradłem, a nad niem wisały skrzypce.

Pomocnik, stojący przy oknie, nie miał też na sobie długiego surduta, jeno krótki, wytarty kubraczek.

Pan kantor siadł na miękkim krześle, założył nogę na nogę i tak zaczął, patrząc na młodzieńca:

— Innym, bracie, gorzej bywało, co mówię, bywało, im teraz też gorzej. Kiedy mój kolega Pażut naznaczony został pomocnikiem w małej parafii Kamienicy, klasa i kuchnia mieściły się tam w jednej izbie, nieraz preceptor uczył dzieci, a żona kantora za jego plecami prała bieliznę, myła naczynia kuchenne, albo przygotowywała strawę dla krów. Tu było już nieco lepiej. Pani „kantorka” tylko w sobotę gotowała na kominie w szkolnym pokoju. Gdy chcia-

łem wcześniej pójść do domu do swoich, wypisałem wzór kaligrafii, a ona już pilnowała dzieci, żeby starannie pisały. Zastępowała ona często i swego męża, który chodził z muzykantami po całej okolicy. Była bardzo surowa dla dzieci, niech jeno spojrzęła na nie, żadne ani pisać nie śmiało. Sypiałem na górze, w lecie na sianie, a w zimie na wstawianem tam łóżku z pierzyną. Zdaje mi się, że ty, chłopcze, nie zniósłbyś tego, ja jednak, wychowany w chałupie, do wszystkiego przywykłem. W innych miejscowościach jeszcze stokroć gorzej! Pomocnik Dubrawsky miał klasę obok obory; ściana była bardzo zniszczona, więc krowy i kozy zaglądały przez nią do dzieci, siedzących w klasie.

Nieraz podczas najciekawszego wykładu wszystkie te zwierzęta zaczynały ryczeć, beczeć. Tikowskiemu najęto klasę w baraku kołodzieja. Dzieci siedziały w kilku ławkach, pomocnik je uczył, a kołodziej pracował przy kominie, hałasując przeraźliwie. Skoro drobiazg ten był niesforny, groził majster głównią... A co ci biedacy nacierpieli się chłodu! Tikowski miał łóżko w sieni, obok komina, spał tam zimą i latem. Dubrawsky poniewierał się w komorze, zimnej jak lodownia; ściany w niej pokryte były szronem, na którym pan preceptor rysował palcem całe mapy!...

— Nasz dziadzio opowiadał nam często, ile też, będąc pomocnikiem, zażył głodu i chłodu. W lecie i w zimie nosił tylko fraczek i nankinowe spodnie, w których mu nogi drętwiały z zimna. Na jedzenie chodził do domów — codziennie do innego; nie był on wybrednym, a jednak, mawiał, nieraz patrzeć nie mógł na to, co mu podawano i wierzyć nie chciał, że ludzie to jedzą.

Kantor zażył tabaki i przytakiwał bezustannie.

— Co się tyczy jedzenia, to i u nas nie będziesz miał takiego, jakie na plebanii bywa, ale głodu nie zaznasz. Jestem też ubogim, a mam przecież syna

na głowie i chciałbym zabezpieczyć mu lepszą przyszłość. Według przysłowia: „gdzie zbyt kochana kuchnia — tam mały spadek.” No! spadek po mnie nie będzie pokazny, choć i skromna kuchnia.

— Nie troszczę się o to, panie nauczycielu, wszak nie wychowałem się w pałacu — z uśmiechem odpowiedział pomocnik, patrząc na kantora swemi błękitnymi oczyma tak serdecznie i ciepło, jakby syn na ojca.

— Ale, bracie, z nami krucho. Ja dostaję dwieście pięćdziesiąt guldenów rocznie—ty siedemdziesiąt. Pięćdziesiąt odtrąca się na twe utrzymanie, więc do ręki dam ci tylko dwadzieścia, co za ledwie na obuwi wystarczy. Musisz zatem, czy chcesz, czy nie—dora bić coś muzyką. Jesteś wprawdzie uczonym człowiekiem, lecz cóż poradzić, a zresztą w naszej kompanii źle ci nie będzie! Nie lękaj się! Mamy porządną kapelę, każdy to potwierdzi; zbieramy wciąż pieniądze na nowe nuty i—ludziska nas chwala. Grasz doskonale na skrzypcach, to i pójdzie dobrze. Tylko bez grymasów i niezadowolonia, bo ono podobne jest do chmielu, okręcającego się około krzaku i obezwładniającego go od stóp do głów.

Przy tych słowach powstał kantor z krzesła, zbliżył się do łóżka, wziął skrzypce, nastroił je i prze grał kilka trudnych pasaży.

— Dobry instrument—starej roboty; gdy będę miał czas wolny, naprawię je chętnie.

— Co teraz porabia ten Woborzyl? — zapytał młodzieniec.

— Woborzyl? ach, kto go wie! Dobry to był człowiek, ale małowówny, odludek, a patrzył jak kałmuk. „Pocóż ja mam tu siedzieć z temi dziewiętnastu krajcami dziennie” — mawiał ciągle i przy pierwszej sposobności umknął. Porozumiał się z kilku towarzyszami i mieli powędrować do Rosyi. Jeśli poszli—szczęśliwej podróży!

— Był muzykantem?

— Wybornym, głównie zaś na dętych instrumentach.

— Czy pozwolisz, przyjacielu, przejrzeć swą bibliotekę?

Przysunął się do stołu i zaczął przeglądać starannie ułożone książki.

— Łacina, łacina i znów łacina, greckie, niemieckie książki, do kaduka! same mądre dzieła, których człowiek nie rozumie nawet. Nasz Wacław ma ich też pełną furę, ale gdy się go zapytam, jak kluski po łacinie—nie umie odpowiedzieć — zaśmiał się serdecznie, widząc zaś uśmiech na twarzy pomocnika, dodał poważnie: — Wierzę, wierzę, iż tam jest wiele pięknych rzeczy, chętniej jednak czytuję dzieła w naszym ojczystym języku, który, niestety, w dzisiejszych szkołach na ostatnim jest planie. Margrabia Chotek pilnie się zajmował kwestyą nauki naszego języka, Winarzycky i Jungmann ¹⁾ podnieśli ją znacznie wyżej, lecz wyższa komisya państwowa sądzi, że nauka być może za darmo. O Czesi, Czesi, jakże mi was żal!

Pomocnik słuchał, nie rozumiejąc dobrze znaczenia całej tej przemowy.

— Głowy młodzieży zakuwają łaciną i innymi niepotrzebnymi wiadomościami, jak gdyby mieli żyć tylko między sobą, w jakimś odludnym świecie. Skoro ci biedacy znajdują się między ludźmi, to sprawiają wrażenie uli bez pszczoł; patrzą, ale nie widzą, słuchają, a nie rozumieją. Nie mówię tego do ciebie, bracie, ty już świat znasz nieco.

Jam nie uczony, lecz myślę wiele i zastanawiam

¹⁾ Winarzycki (ur. 1803, zm. 1869) znany pedagog i literat z czasów odrodzenia Czech. Jungmann (ur. 1773, zm. 1847) twórca nowej literatury czeskiej, autor cennego słownika języka czeskiego.

się nad tem, jak jest, a jak być powinno, Gdybym posiadał tyle możności, ile mam chęci, to źleby ludziom było, bo większość ich przesiałbym przez rzeszoto... A teraz najczęściej cierpi się za prawdę od tego, kogo ona w oczy kole.... A niech ich licho weźmie! Cóż mi z tego przyjdzie! obliznę się, jak kot we śnie na słońcę, i znów zaczynam myśleć...

Cóż więc masz jeszcze? A! a! „Opis ziemi”, czyli geografia, „Metodyka”, „Nauki przyrodnicze”, czyli fizyka, „Nauki przyrodnicze”, wszystko to mam, wszystko; ten hradecki Szadek ¹⁾ jest błogosławieństwem, dobrodziejstwem dla nas kantorów, jak również i Fileik ²⁾. „Opis przyrody, jako szkolna rozrywka”, to dobra książka. A czy przypominasz sobie dzieło Fileika „O człowieku”, jego podział plemina Jafeta? Nie pamiętasz, więc uważaj: kaukazkie plemię, celtyckie, słowiańskie, indyjskie, malajskie, australscy ludożercy i Niemcy!... słyszysz, ludożercy obok Niemców!... — ze śmiechem czytał nauczyciel. — „Dlaczego dlatego w matematyce” i to mam. „Krótki wykład katechizmu.” A „Bogumił, młody pułkownik” ³⁾, to napewno nagroda szkolna. „Pilnemu uczniowi, Karolowi Czermakowi, w roku 1832” czytał piękny gotycki napis, umieszczony na pierwszej karcie książki.

Tam do licha! „Przyjaciel młodzieży” ⁴⁾, no proszę i to macie! cała tego paka. Żaden kantor nie obejdzie się bez niego, tylko szkoda, że nie zawsze jest w nim to, czego by się potrzebowało. A teraz to już puste pismo i bardzo nieregularnie wychodzi.

¹⁾ Znany pedagog.

²⁾ Fileik, autor dzieła: „Doskonały rachmistrz.”

³⁾ Powieść Szmidta.

⁴⁾ Pismo wychodzące przez lat 8 od 1823 r.

Gdyby na redakcyę przyszedł ostateczny dzień, brakułoby jej czterech zeszytów.

„Wiernego doradcy”¹⁾ nie masz? To go zaraz przyniosę. A co to znów mamy? ach, „Rozmaitość”, wydawana przez Jana Gibla i starego Kacafiska, poczekaj, poczekaj, tego rocznika jeszcze nie widziałem, musisz mi go pożyczyć, pozostałe już czytałem.

— Z przyjemnością, te książki mam po dziadku.

Pan kantor, wzięwszy „Rozmaitość” pod pachę, wyszedł z pispiechem.

Pomocnik, zostawszy sam w pokoju, zamyślony i wpatrzony w drzwi, układał porozrzucane książki. Słowa nauczyciela brzmiały mu jeszcze w głowie.

— I znów jestem!—wołał kantor i z paką książek wchodził do pokoju.

— Najpierw tedy „Wierny doradca rodziców, dzieci, nauczycieli i wychowawców”, to dobra rzecz, także przez Zieglera wydawana; a teraz uważaj, chłopcze: „Szkółka, czyli początkowe, praktyczne, pogładowe, ogólne nauczanie dzieci, dążące do rozświetlenia ich umysłu, uszlachetnienia serca, z podręcznikiem nauki czytania, rachunków i rysunków, dla rodziców, nauczycieli i wychowawców.” Napisana przez Jana Wlastimira Swobodę r. 1839. To jest dobra, doskonała książka! Wiesz, „Bohemia”²⁾ ją nawet chwaliła, a wiadomo, że Niemiec nigdy Czechowi przychylnym nie bywa. Nie czytałeś tego? Więc prędko się do niej zabieraj! — wesoło mówił nauczyciel, z radosnym uśmiechem przerzucając kartki tego dzieła.

A potem, patrząc serdecznie na Czermaka, odezwał się:

¹⁾ „Wierny doradca rodziców, dzieci i wychowawców” wychodził w 1824 r.

²⁾ „Bohemia”, niemiecka gazeta.

— Człowiek musi śledzić naukę, a choć żyjemy tu między samemi górami, powinniśmy iść za postępem. Nieraz moi koledzy wyśmiewają się ze mnie i dowodzą, że mi z tego wszystkiego nic nie przyjdzie. Bóg z nimi! Ja mam przynajmniej to zadowolenie, iż naukę prowadzę podług nowych wymagań. Nie sylabizują już moje dzieci, a czytają metodą dźwiękową, wszystkie mam nowe podręczniki. A oto przyniosłem jeszcze kilka zeszytów, aby ci się, kolego, nie przykrzyło. Proszę jednak nie czytać prędko i nie zapominać o naszym towarzystwie. Czytaj wolno, uważnie, gruntownie. Nie gniewaj się tylko na mnie za te wszystkie uwagi, jakie czynię, mimo, że szkół wyższych nie kończył.

Widocznem było, że pomocnik chciał coś powiedzieć, ale zaczerwieniwszy się po uszy, milczał.

— Tu masz Dobrośława, tymczasem jeden tom, drugi później przyniosę, tu znów „Dawniej i dziś”, „Kwiaty czeskie” i „Kwiaty”, znasz je, bracie?

— Czytałem urywkami, w Iczynie jeszcze.

— Mam je w komplecie. To są cudowne rzeczy, setki razy błogosławiłem za nie Tyla¹⁾ i dziękowałem mu, ale czyżby dla niego miały jakieś znaczenie słowa zatabaczonego kantora?—mówił, śmiejąc się głośno i przymrużając świecące zapalem oczy.

Pomocnik przeglądał książki i zauważył, że na każdej był podpis: Wacław Cziżek.

— Czemuże ja się panu odslużę?—pytał.

— Głupstwo! Zbieram to wszystko dla mego syna, z czego i sam wielką mam radość. A tu jeszcze jest „Pszczola”²⁾, nie podoba mi się jednak, za wiele w niej krytyki. Naturalnie, krytyka może być

¹⁾ Tyl—znany beletrysta czeski.

²⁾ „Pszczola”—pismo wydawane początkowo przez pociąg Czelakowskiego.

dobrym i pożytecznym pokarmem, ale nieraz i trucizną. Jak już powiedziałem, nasza kuchnia ma i złe strony, ot i to jest również kuchnią naszą.

— Jak pan mógł tyle dzieł zgromadzić? — patrząc na książki, pytał Czermak.

— Rozumie się, szło to ciężko — odpowiedział kantor, wciąż patrząc na książki. — Tak się to dzieje. Ksiądz z Wietrowa, poczciwe człeczysko, pisuje do „Kwiatów” i otrzymuje to pismo, następnie daje do czytania, a skoro przejdą przez wszystkie ręce, ja je otrzymuję, naturalnie za niższą cenę. Nasi starszowie umieją się obchodzić z książkami, więc je dostają w porządku. Czego nie mogę już kupić, to sobie przepisuję. I ty, bracie, musisz tak samo robić.

Oczy nauczyciela były pełne blasku.

Młodzieniec patrzył nań pytająco.

— Przepiszę, powtarzam. Dostanę u pana jaką książkę, podoba mi się ona bardzo, a tu, jak na złość, nie mam grosza w kieszeni. Trzeba złemu zaradzić, zabieram się więc do przepisywania. Nieraz moja żona marudzi i wydziwia na te książki, trzeba jednak dodać, że Tona odczuwa i rozumie moje zamiłowanie, ale ona jest gospodynią, a wiadomo, gospodyni najlepiej wie, na co są najpierw pieniądze potrzebne. Kupisz sobie zeszyt i będziesz pięknie, starannie przepisywał. Mam dość książek, zwłaszcza pedagogicznych.

— Obecnie ja panu będę pomagał — rzekł preceptor.

— Doskonale, doskonale! Naszym obowiązkiem starać się o to, żeby szkoła nie była przybytkiem mąk zarówno dla dzieci, jak i dla nauczycieli.

— Toż się teraz naczytam! — śmiał się pomocnik.

— Czytaj, czytaj, bracie! To całe nasze szczęście. Czytając, zapominamy o troskach powszednich. We dnie musi człowiek pracować, gdyż nie posiada

innego majątku, prócz tego, co ręce wypracują, wieczorem zaś zapalam z rozkoszą światło, nakładam fajkę i wtedy, niech się nawet i świat zapada, mnie nie obchodzi! Pragnąłbym, żeby mój syn znajdował równą przyjemność w czytaniu, muszę jednak dodać, że już i teraz chętnie on i wiele czyta.

— Gdy o tem wszystkiem babuni napiszę, ona mi wprost nie uwierzy! Czy mogliśmy nawet przypuszczać, iż tu, w górach, takich znajdę ludzi!

— Dajże spokój, przestań!—prosił nauczyciel.

— Mówię tylko prawdę—bronił się pomocnik.— Panie nauczycielu, jestem młody, lecz przeszedłem już dużo i umiem też ocenić i odczuć wyświadczone mi dobro, jeno że go mało w życiu zaznałem!...

— Wierzę, bo i ja tego doświadczyłem! Staram się mieć o każdym dobre pojęcie, ale nikomu nie wierzę.

— Mój dziadek toż samo powtarzał.

— A wiesz dlaczego?—dodał kantor.

Pomocnik zapatrzył się w ścianę i milczał.

— W Iezynie czytywaliście? — pytał po chwili.

— Czasami wieczorem jeden czytał głośno, inni go słuchali, ale była to niemiecka lektura; najczęściej wybieraliśmy nowele Gessnera.

— Czemu nie czeskie, przecież są te nowele po czesku—wykrzyknął pryncypał.

— Gdybyśmy to byli wiedzieli.

— Ot, skutki waszej łaciny—mówił wolno, szeroko otwierając oczy.

— I ona w swoim rodzaju piękna — westchnął pomocnik — gdybym tylko mógł, uczyłbym się jej dalej; dzieła klasyczne ogromnie mi się podobały.

— Owszem, wierzę ci, młodzieńcze i chętniebym ci dopomógł, niestety, pieniądze są rzadkością, tylko pycha, jako chwast, rozplenia się między ludźmi, na próżno też używa się w tym celu pomocy świętego Kryzstofora. Dawniej na pogrzebach ludzie płakali,

kantorzy zaś śmieli się, teraz jest wprost przeciwnie: pierwsi się cieszą, że ich mało pochówek kosztuje. Ja tym zajęciom z przykrością się oddaję, ale cóż zrobić, ot życie! Nieraz na kwartał jeden się pogrzeb zdarzy, a ja dostanę zaledwie trzydzieści krajcarów. Gdybym za nie kupił arszeniku i rozdzielił na cały ten kwartał, nieby nam nie zaszkodził. A „Sobotales?”¹⁾ czyż je przynoszą? Panowie wołają: „Dajcie kantorom, co im się należy”, a ludzie biedni odpowiadają: „My sami nie mamy, wy macie więcej, więc dajcie i zachęcajcie do tego bezdzietnych bogaczy!” Ale panowie nie chcą o tem słyszeć. Ot i znów ci, bracie, mówię kazanie, to jest moja wada. Przyniosłem jeszcze jedną książkę, najdroższą mi, moją ewangelię!...

Powiedziałem to kiedyś proboszczowi, przyznał mi rację, bo i jemu podoba się ona bardzo, ale gdy o tem wspomniałem przy wikaryuszu²⁾, ten się zachmurzył i słowa już do mnie nie przemówił, a ja sobie pomyślałem: cóż poradzić, kiedyś ty Niemiec! Tacy panowie nie widzą prawdy, choć noszą okulary. Tak, to moja ewangelia!

Preceptor wziął książkę do ręki i przeczytał tytuł: „Starożytności słowiańskie.”

Pan kantor serdecznie patrzył na młodzieńca, milczał, lecz w oczach miał pełno ognia.

Pomocnik, przerzucając karty, znalazł między niemi ówiartkę papieru, zapisaną łacińskiem, niewprawnem pismem.

„O szczęśliwy Szafarzyku! Ty jesteś jutrzenką, która się ukazała na firmamencie słowiańszczyzny,

1) „Sobotales” — zapłata, jaką otrzymywali wiejscy nauczyciele od swych uczniów w każdą sobotę.

2) Wikaryusz—administrator kilku parafij.

a świetlane swe promienie rozsyła do najdalszych zakątków. Kto mógł przypuszczać, że swemi „Starożytnościami słowiańskimi” dasz trwałe podwaliny oczystej literaturze. Wspaniałomyślny człowieku! O, gdybym cię mógł zobaczyć! o rozmowie z tobą nie marzę, bo i cóżbym ci mógł powiedzieć, ja, biedne dziecko czeskiego narodu! Jestem ci jednak całkiem oddany i mam nadzieję, że ujrzę cię jeszcze kiedyś w Złotej naszej Pradze! Co znaczą bogactwa całego świata, przepych, tytuły wobec twojej wiedzy! Bóg niechaj cię obdarza trwałem szczęściem, długiem życiem, a jeśli nie masz jeszcze towarzyszkę życia, życzę, abyś znalazł odpowiednią i godną siebie żonę. Wyście tam wszyscy razem, o patryoci czescy! Szkoda, że niema już między wami Dobrowskiego. Pozdrawiam cię Jungmannie, Kollaczu ¹⁾, Czelakowsky ²⁾, Tylu ³⁾ i wszystkich was patryotów!

Wacław Czyżek.”

Pomocnik przeczytał tę ówiartkę i patrzył nieruchomo w książkę.

— Czy widziałeś tę książkę?—zapytał kantor.

Młodzieniec zaprzeczył ruchem głowy.

— Więc czytaj, czytaj, bracie, a nie dziw się temu, co tu napisałem. Papier, to mój najlepszy powiernik i przyjaciel, nigdy nie zawiedzie!

— Was, panie, wszyscy muszą lubić? — serdecznie powiedział preceptor.

Stary roześmiał się i zaprzeczył.

— Dopóki byłem młody, miałem wielu przyjaciół, lecz po czternastu latach spędzonych w roli po-

¹⁾ Kollacz--Słowak, piszący po czesku, autor „Córy sławy”, poematu politycznego.

²⁾ Poeta i dramaturg (1799—1852).

³⁾ Tyl — znany patryota, beletrysta i dramaturg (1808--1856).

mocnika, wszystkich ich wykreśliłem ze swego rejestru. Czemuż jest dla nich pomocnik? Jednostką w jednostkach... A cóż o sobie mniemają? Że są jednostką w milionach. Ja wciąż się jeszcze uważam za preceptora, a ta niewinna kartka z łachmanów (nauczyciel wskazał na ówiartkę papieru) nie oszukała mnie dotąd. Pochodzi z łachmanów, a łachmany przecież powinny znosić wszystko.

Nauczyciel wyjął z bocznej kieszeni zeszyt z szarego papieru.

— A gdy mieć będziesz ochotę, to i to przeczytaj, a nie gniewaj się bracie, żem cię tak odrazu obrzucił gradem słów—dodał, wstając.

Pomocnik wziął od niego zeszyt i przeczytał: „Życie szkolnego pomocnika Czyżka w Pozdziejnie.”

— To najpierw przeczytam—zawołał.

— Pomału, pomału, znajdziesz tu wiele trudnych do zgryzienia orzechów i są one ciężko strawne. Ale mnie już czas do roboty, nie zapominaj o nas, przychodź na gawędę — mówił, odchodząc.

Pomocnik wyprowadził kantora aż do sieni.

— A to się pan nasłuchiwał kazania, litanii całej, byleś pan tego nie opłacił bólem głowy!—wołała kantorowa.

— Milcz! ty tego nie rozumiesz, moja Tono. Wszak napisano jest: „Kantorowie świecić będą jako gwiazdy na firmamencie,” a o kantorowych ani tam słowa!—zartował nauczyciel, wchodząc do kuchni.

Pomocnik, wróciwszy do swego pokoju, stanął w przestrzeń zapatrzonej.

Zbliżył się potem do stołu, spojrzął na książki, ale żadnej nie otworzył. Siadł przy oknie i wciąż zamyślony patrzył na niebiosa. W tej chwili jego młoda i rumiana twarz miała bardzo poważny wyraz—wyraz męża doświadczonego, głęboko myślącego. Je-

go oczy błękitne były zażawione, przymknięte, w ustach malował się smutek i tęsknota.

Otworzywszy wieko pomalowanego, lecz mocno już wytartego kufra, siadł na kraju i zajrzał wewnątrz.

Spód wieka wyklejony był pstremi wyobrażeniami świętych, powycinanemi drzeworytami i szkolnemi rysunkami ornamentacyjnemi. W kufrze leżała bielizna i trochę lżejszego ubrania. Odsunął w jednym rogu bieliznę i wyjął książkę do nabożeństwa. Oprawa jej była czarna, miejscami bardzo zniszczona, z wyciskami i metalowym krzyżem pośrodku. Odpiął mosiężną klamrę i z wolna przewracał w niej kartki, na brzegach już pożółkłe. Tu i owdzie między kartkami znajdowały się obrazki: mniejsze i większe, malowane, złoczone, z pięknymi obwódkami, podklejane, przezroczyście, jasne i ciemne. Znajdowały się również zasuszone kwiatki: czterolistna konieczyna, listki wyblakłej, połamanej już ostróżki, silnie sprasowana róża burego koloru.

Zamknawszy książkę, oparł głowę na lewej ręce i przez chwilę patrzył w przestrzeń... Schylił się następnie do kufra, włożył książkę, a z drugiego rogu wy dostał czworograniasty przedmiot, starannie papierem owinięty, owiązany wyblakłą wstążką.

Po rozpakowaniu trzymał w ręce mały portret na płótnie, w ozdobnych, złotych ramkach.

Na niedużym kawałku płótna, już poczerniałym, była namalowana kobieca główka i nieco biustu.

Twarz cała była jednostajnej, cynamonowej barwy, wargi blade, ciemno-niebieskie oczy, kasztanowate włosy, na połowę rozdzielone, gładko nad skroniami zaczesane, opadały na uszy, zakrywając je do połowy. Na ciemnym biuście uwydatniał się pod samą szyją złoty, ozdobny krzyżyk.

Pomocnik, o wieko oparty, wpatrywał się w portret, następnie się podniósł, portret postawił przy

krzyżu pod oknem, odszedł i zdaleka mu się przyglądał.

Wtem drzwi się rozwarły i ukazała się w nich pani domu z kawałkiem chleba, masłem posmarowanym, w rękę.

— Pan nauczyciel już pewnie głodny, przyniosłam więc kawałek chleba—łękliwie mówiła.

Czermak poczerwieniał i w milczeniu zbliżył się do niej.

Widziała ona dobrze, czemu się pomocnik przyglądał, ale nie wiedząc, jak zacząć rozmowę, weszła do pokoju, położyła chleb na stole, i już wychodząc, rzuciła pytanie:

— To pewnie mama pańska?

Pomocnik skinął głową.

— Biedna, taka piękna i młoda! — mówiła, patrząc tkliwie na podobiznę.

— Musiałem mamie pokazać, gdzie teraz przebywam—rzekł z uśmiechem.

Pani głową kiwała.

— A czy ją pan dobrze pamięta? — ze współczuciem pytała.

Zaprzeczył.

— Znam ją tylko z fotografii, a odtwarzam sobie z opowiadań dziadka i babci.

— A czy pan ma również i portret ojca?

Zaprzeczająco kiwnął głową.

— Czy matka pochowana tam, u was?

— Nie, pochowana jest w Pradze.

— W Pradze? to biedaczka tak daleko od nas spoczywa. A czy tam pan był przynajmniej?

— Nigdy! Nie miałem na to środków, teraz przyrzekłem sobie z pierwszej okoliczności skorzystać, aby się dostać i zobaczyć, gdzie leży.

— W Pradze? w Pradze! a zkadże się tam znalazła?

— Poszła szukać pracy, cóż miała biedaczka robić! Ja byłem u dziadka, a mama przysyłała miesięcznie pieniądze na utrzymanie moje; nie tknęli tego jednak, wszystko mi na przyszłość składali. Przydały się te pieniądze na moją naukę.

Pani kantorowa zbliżyła się do okna i patrząc na podobiznę, smutnie głową kiwała.

— Pan się na mnie nie gniewa za moje przyjście?

— Dlaczego? Przecież byłbym i tak pani ten portret pokazał.

— Nie tęsknij pan, proszę — mówiła, odchodząc — i nie zapomnij o chlebie.

Po wyjściu gospodyni domu pomocnik wziął podobiznę do ręki, ucałował i schował. Zamknawszy kufer, chodził po izdebce, z twarzą nieco już pogodniejszą. Następnie usiadł przy stole, roztworzył zeszy nauczyciela, a odłamawszy kawałek chleba, zabrał się do jedzenia i czytania.

Życie pomocnika szkolnego w Pozdrietynie Wacława Czyżka.

ROZDZIAŁ I.

Uciechy i troski szkolne.

Powszechnem hasłem tego świata słowo: płąć! Jeszcze nie wyrosłeś na porządnego obywatela tej biednej ziemi, a słyszysz już: płąć! A idzie to wciąż, przez całe życie, aż do grobowej deski. Płąć! płąć! płąć! — wołają na ciebie ze wszech stron, nie możesz się nawet opędzić. Świat ten cały na pieniądzach stoi, jeno śmierć służy darmo. Dlatego nie miałem jakos ochoty do tego światowego zamętu. Ojciec, słysząc mój krzyk, zatykał uszy, matka załamywała ręce, jeden tylko dziadek wołał z zadowoleniem: *Sapristi!* on będzie śpiewakiem! Później więcej mi się już życie podobało, zwłaszcza, gdy mi zrobiono wózek, w którym rozpierałem się, jako pasza, chociaż żadnego paszy nie widziałem. Wtedy niezłe mi było na świecie, a skoro dostałem pierwsze ubranie chłopca, najchętniej przebywałem w ogrodzie, na słońcu, gdzie jadłem szczaw i tarzałem się w kupkach piasku; po-

tem przez kilka dni nie mogli tego piasku wyczesać z moich włosów. Często siadywałem z Kartusem koło jego budy i rzucałem kurom kawałki chleba z twarogiem.

Raz wpadłem do strumienia, ale woda mnie wyrzuciła na piasek; widocznie byłem przeznaczony do większych zadań i celów.

Czas mi upłynął bardzo mile; maceczka krajała takie ładne cieniutkie kromki chleba, tak je dobrze masłem, a na to twarogiem smarowała, że doprawdy dotąd ich zapomnieć nie mogę; a gdyby mnie dziś kto zapytał, co dla mnie największym było przysmakiem, odpowiedziałbym bez wahania, że te kromki z masłem i twarogiem.

Niestety, nieszczęście chodzi nie po górach, lecz po ludziach! Było to jakoś przy końcu zimy. Ojciec, wracając z jarmarku, zamiast zwykłych precli, przyniósł mi abecadło...

Piękne ono było: z jednej strony białe, jako śnieg na naszych karkonoszach—na drugiej czerwone, rączka przy nim dobrana była zupełnie do wielkości mej ręki. Zamknąwszy je, zauważyłem, iż doskonale może służyć do... bicia.

Przy rączce była pętka ze szpagatu, zawiesiłem więc abecadło na guziku czerwonej kurtki i chodziłem z niem, jak królewski minister... choć i ministra nigdy nie widziałem...

Stawałem przed każdym przechodniem, ręce w tył chowałem i tak się z mojem abecadłem wypinałem, że każdy musiał je zauważyć.

Na tych, którzy dalej przechodzili, głośno wołałem:

— Słuchajcie, patrzcie, ja mam nowe abecadło!

O, nieszczęsne abecadło!... wówczas nie wiedziałem jeszcze, że w niem leży mój pierwszy krzyż ciężki, że mi będzie męką, moją karą, ciągnącą się

od *a* aż do *z*... Zaraz nazajutrz przyzwał mnie do siebie mój ojciec i rozpoczęła się pierwsza lekcya.

Muszę przyznać, że litera *a*, wyrażona trzema sposobami bardzo mi się spodobała, zapamiętałem ją dobrze i wszędzie już rozpoznawałem.

Chodziłem następnie od znajomego do znajomego, przechwalając się:

— To jest *a*, przekonajcie się, jak to już umiem! Elementarz nie jest wcale trudnym, nauczyłem się go odrazu.

Jeśli mam prawdę powiedzieć, to dalsza nauka nie postępowała z równą szybkością, bądź co bądź w tydzień znałem wszystkie litery, od początku do końca — od końca do początku recytowałem, jak pacierz. Kiedy je wymieniałem memu dziadusiowi, zdziwiony był niemało, a stara ciotka Nana ¹⁾, składając ręce, mówiła z przejęciem:

— A toż dar od Boga, moi ludzie — to wielki dar! Ja się tego przez całe swe życie nie mogłam wyuczyć, a to małe dziecko nauczyło się przez tydzień!

Ciotka Nana miała już lat pięćdziesiąt.

Niezmiernie żał mi jej było, to też zaraz powiedziałem:

— Nie martw się, cioteczko, siądź tylko przy mnie, a ja cię nauczę.

Ciotka jednak gniewnie krzyknęła:

— Dajże mi święty spokój! Będę ci się na stare lata do nauki zabierała! Już na tym świecie niewiele mi potrzeba mądrości, a do nieba i tak się dostanę!

Mimo to włączyłem się za nią bezustannie, powtarzając z uporem:

— Przecież to bardzo łatwe, tylko się przyj-

¹⁾ Nana — Anna.

rzyj uważnie; ot, ta litera z dziobkiem i brzuszkiem, to jest *a*.

Nie nie pomagało, ciotka nie miała chęci do nauki.

Raz, gdy już znałem doskonale całe abecadło, siedziałem przy budzie Kartusa. Było to na wiosnę, więc ziemia była rozmiękła.

— Poczekaj, psino, zrobię ci ścieżkę do budy — rzekłem do starego kundla.

Kartus łąsił się radośnie w swej budzie, a ja się do pracy zabrałem. Posuwałem się na kolanach, a mojem abecadłem ubijałem ziemię, chcąc ją zrobić twardą, jak bruk. Naraz prask! i elementarz rozłamał się na dwie części. Przerażony kundel wybiegł z budy, a ja z płaczem uciekałem do domu.

Naturalnie, za zrobienie z jednego—dwu abecadeł, jak również za powalanie zupełnie nowych majtek, dostałem porządnie łokciem.

Ten łokieć wisiał w pokoju przy oknie, a mnie nim mierzono najczęściej.

Z tego wypadku ojciec się przekonał, że już zbyt duży na abecadło z literami tylko, więc zaraz w niedzielę przyniósł mi trudniejsze z sylabami. Ojciec bardzo był oszczędnym, a jednak tyle wydawał pieniędzy...

Ach, prześliczna to była książka! Oprawiona w angielskie płótno, w żółte, czerwone, czarne, zielone, niebieskie kropki, z czerwonym, jak ugotowany rak, grzbietem. Gdzie tylko mogłem, chodziłem wszędzie, aby móż się abecadłem pochwalić.

W poniedziałek miałem iść pierwszy raz do szkoły. Pana kantora dobrze znałem, bywał u nas często, gdyż mój ojciec należał do jego kapeli, jako trębacz, więc nie lękałem się go zbytecznie. Otrzymałem mnóstwo nauk, przestroóg i zaklęć, żebym się nie ważył rozmawiać w szkole.

Mama włożyła mi na głowę aksamitną czapkę

ojca, a ja, wsunawszy ręce w kieszenie, założonych u dołu spodni, z elementarzem pod pachą, bosy, wyruszyłem do szkoły. Szedłem poważnie, jakby hrabia Bielohradsky ¹⁾, a oglądając się wokoło, myślałem sobie: Ludzie, podziwiajcie moją czapkę aksamitną! Uczuwałem ją na uszach, a marszczyłem umyślnie czoło, żeby mi się poruszała na głowie. Ale im się więcej przybliżałem do szkoły, tem mną większa ogarniała niepewność i troska, co ja tam pocznę z moją czapką, gdzie ją schowam? Nauki bynajmniej się nie obawiałem, szedłem przecież z trudniejszym już elementarzem; ale najgorzej z tą czapką aksamitną... Wolno próg przestąpiłem i cichutko szedłem przez sień, do klasy prowadzącą. Przy samych drzwiach spostrzegłem starą szafę, a więc, zerwałem czapkę z głowy i—buch ją za szafę...

Zaledwie jednak zjawiłem się w klasie, pan nauczyciel pyta, gdzie czapkę podziałem. Ale ja, pamiętając słowa matki, ani pary z ust nie puszczam i z rękami w kieszeniach spodni, z elementarzem pod pachą, stoję, jak mruk, rozglądając się tylko po klasie.

— Wasziczku, Wacku, gdzieś położył swą czapkę—pytał się nauczyciel i pochylając się, wziął mnie za brodę.

Czułem, że płonę cały, że oczy z orbit mi wychodzą, ale nawet za holenderskiego dukata nie przemówiłbym i słowa.

— Rzucił ją za szafę—poskarżył Antek Marzatek, a cała klasa parsknęła śmiechem.

Pan kantor przyniósł moją czapkę, sam ją otrzepał z pyłu i powiesił obok pieca, a mnie na ławce posadził. Mimo to wszystko, cały ten ranek nie spuszczałem z niej oka.

¹⁾ Bohater dramatu czeskiego.

W jakiś czas potem szło mi już dobrze w szkole. Najbardziej lubiłem dwa zajęcia: noszenie drzewa na strych i układanie słomy. Również bardzo chętnie poruszaliśmy miechy organów podczas Mszy św. Ciągnęliśmy je z całej siły aż do drzwi; umiałem to dobrze, ale nie mogłem dorównać w tem Antkowi. Przykro mi było, że nie mogłem służyć proboszczowi, lecz do tego był Ferda (Ferdynand) Lasik i Nacek (Ignacy) Maślak, dlatego, że ich kilkoro było w rodzinie, złościło mnie, że i nas więcej niema.

Po trzechletniem chodzeniu do szkoły musiałem się uczyć śpiewu. O jedenastej wszyscy z klasy wychodzili, a zostawali jeno ci, którzy mieli wykrzykiwać podług magicznych znaczków, nutami zwanych. Ze wszystkich tonów najlepiej lubiłem dyskantowe i; Franciszka Luczkówna wyciągała je tak silnie, że m się słyszał dniem i nocą. Pan kantor stawał za nami i tego, co fałszował, uderzał smyczkiem po makówce; najczęściej dostawało się Antkowi. On wiele umiał: bob znakomicie łuskał, klipę podbijał wysoko, aż za chałupę, ale śpiewakiem nie był. Franciszka wyśmiewała się z niego, a mnie to bardzo cieszyło.

Skoro nauczyłem się nieco śpiewać tenorem, zaczęto mnie uczyć na skrzypcach. Miał mi je z Pragi przywieźć Pejsza z Wietrona; trzy dni biegałem na wzgórze, by się przekonać, czy już nie jedzie. Przyjechał po dwu tygodniach, warto było jednak tak długo czekać. Skrzypce były przesliczne! Czerwono pomalowane, błyszczące—ocierałem je nieustannie połą surduta — na smyczku naciągnięta nitka złota, jakiej przy żadnych skrzypkach nie widziałem, pan nauczyciel nawet takich nie miał. Pierwsza piosenka, jakiej się grać nauczyłem, była:

Gniewaj się ty na mnie, albo nie gniewaj,
Ale, gdy mnie spotkasz, pozdrowienie daj...

Wygrywając to, wyskakiwałem podług taktu na jednej nodze, wokół całej chałupy. Uczyłem się następnie na flecie i fortepianie, lecz to mi jakoś nie szło. Nie było też już Franciszki, gdyż ją oddali na naukę do Niemców. Jej miejsce zajęła głupia Niemka, trzymająca ciągle język między zębami. Franciszka po powrocie od Niemców już się ze mną nie wdawała, tylko z Wincem (Wincentym) Waniuem.

Miałem lat dziesięć, gdym po raz pierwszy wyruszył z kapelą. Było to Trzech Króli, orkiestra nasza została zamówiona do Rokitnicy. Szliśmy między jeden za drugim, jako gęsi, a szliśmy między zaśnieżonymi polami, obok gęstych borów, pokrytych śniegiem, który w płatkach opadał nam na plecy. Karonosze stały niby widma, mgły przesuwały i rozbijały się koło nich. Czapkę wsunąłem aż na uszy, szyję owinałem w szal, dochodzący do nosa, wołokowe spodnie do butów wcisnąłem, a na plecach, na wytartym surducie syberyjnym, zawiesiłem skrzypce, w niebieską chustkę zawinięte.

Matka wypchała mi kieszenie plackami i kołaczami¹⁾, przez co byłem szerszy, niż dłuższy. Miałem drugie skrzypce; usadowiłem się na estradzie, a stary Podružek, basista, obok mnie. Dopóki graliśmy z nut, szło wszystko bardzo pięknie, tylko piwo, jakie nam roznoszono w blaszanej miarce, przypominało mi postny olej. Ale zaczęła się ciężka sprawa z chwilą, gdy rozochoceni młodzieńcy zaczęli głośno śpiewać i zażądali od nas akompaniamentu z pamięci. Stary, wprawiony muzykant, z wyćwiczonym słuchem, wnet takt pochwyci i akord weźmie, ale ja, młody, niemądry. To też pan kantor słuchał i słuchał, naraz pa! i szturchnął sąsiada, ten oddał kulak drugiemu

¹⁾ Kołacze — małe, cienkie, okrągłe placki, smarowane twarogiem lub powidłami

i tak aż do mnie doszło, a ponieważ byłem ostatni, wpadłem na basy. W gospodzie zawrzało ze śmiechu, ale mnie było smutno. Potem udawałem tylko, że gram, lecz miałem przynajmniej spokój!

Na tej zabawie było wszędzie wesoło: między tańczącymi i w sieni, gdzie przewodzili uczniowie rokitnicy. Podczas przerwy pozwolono mi wyjść do sieni, do której wabiono mnie już dawno. Stałem między chłopcami, nim się jednak obejrzeć zdołałem, usłyszałem hop! i poczułem na plecach jednego z nich, w tejże chwili zasłonięto mi oczy.

„Prędko do kieszeni!” — usłyszałem komendę, a za nią rozpoczęte się napaść na moje kołacze. Jęczałem, jako klarnet, więc chłopcy pouciekali, ale, o rozpacz! nie miałem już ni połowy mych kołaczy! Najwięcej żał mi było kołacza z twarogiem, na który miałem tyle apetytu!

Strasznie zgębiony powróciłem do sali tanecznej. Antek, mój kolega z sekundy, zaraz odgadł, że mi coś dolega. Zapytał się, a ja mu wszystko wyszeptalem.

— Poczekaj, za chwilę znów pójdziesz, ale ze mną już razem — powiedział, a oczy mu się zaiskrzyły.

Gdym wyszedł za pół godziny, chłopcy zaraz mnie obkoczyli i dalejże do moich kieszeni. Widocznie zasmakowały im kołacze i rozłakomiły ich jeszcze. Wtem nadbiegł Antek na pomoc i obił ich porządnie.

Od tej pory nie ruszyłem się do sieni bez towarzysza.

Muszę przyznać, że gra na skrzypcach przestała mnie radować, bo przez nią spadło na mnie od pana kantora wiele plag egipskich. Upodobałem sobie flet, gdyż przy tym instrumencie nie potrzebowałem brać dwu tonów naraz, jak to ma miejsce przy skrzypcach,

no i ręce i ramiona pana kantora przytem zupełnie odpoczywały.

Sześć lat minęło—jam szkołę ukończył. Wtedy bywał u nas często Joza (Józef) Pisztora, harfiarz, lubiany bardzo za humor wesoły i dobre serce. Pewnego razu zaproponował mi, abym zabrał z sobą skrzypce i szedł z nim w świat. To była właśnie woda na mój młyn... iść w świat, w świat! było mojem marzeniem!

Ojciec długo nie chciał nawet słyszeć o tem wszystkim, w końcu zaś, gdyśmy go zaczęli usilnie prosić i naobiecowywaliśmy mu wiele dobrego, dał mi na szczęście parę groszy i kilka dobrych rad ojcowskich, które mi starczyć miały mniej więcej na tydzień... na dłużej nie chciał mnie za nic puścić. Przez parę dni ćwiczyliśmy się razem z Józą dla dobrego zgrania się, w końcu puściliśmy się w drogę: Józka naprzód, ja za nim.

Małego wzrostu, lecz barczysty Józka, głowę miał wielką, nogi krótkie, na prawą zaś trochę upadał. Zawiniętą w grube płótno arfę niósł na plecach i gdyby go kto zobaczył, nie znając go, takiego chuderlawego, napewno pomyślałby: ty daleko nie zawleczesz się, ale krok Józki obstał za dwa inne, ja musiałem biedz za nim, jak psina, przeskakiwać z miedzy na miedzę, a miałem na plecach tylko owinięte w chustkę skrzypce.

Wspaniała była nasza droga! Żniwa wszędzie pokoszone, pola gołe, zboża nie zasłaniały mi krajobrazów, mogłem się na wszystkie strony rozglądać, przytem było ciepłutko. W sadach koło drogi zółciły się jabłka i dojrzewały śliwy, wiszące, jak wielkie różańce. Przez całą drogę żuliśmy jabłka i gruszki, przeplatając od czasu do czasu śliwkami. Józka był wesoły, wciąż coś nowego opowiadał i dobrze nam było. Zatrzymywaliśmy się przed każdym wspanialszym domem ze spichlerzem, przed restaurcyą, zamkiem,

fabryką, pałacykiem, szkołą lub plebanią i zaczynaliśmy grać. Ludzie wybiegali z domów, gromady dzieci kręciły się koło nas, biegały za nami, myśmy grali aż góry się zieleniły!

Jeszcze daleko za moşkę nas odprowadzali, myśmy unosili z sobą garstkę drobnych pieniędzy i zawiniątko z owocami, plackami i chlebem. Na nocleg wybieraliśmy sobie zawsze piekarnię, albo młyn, bo tam napewno można było liczyć na wieczerzę i to za darmo. Gdzie gospodarz był zręczny, starszy czeladnik — zuch, młodszy — zwiny, gospodyni dobra i grzeczna, dziewczucha zaś wesoła, tam graliśmy długo po północy, a młodzież hasała z młynarkami i młynarczykami. Potem dobrze się nam spało, rano znów byliśmy rzeźcy, jak zające.

Józa umiał też śpiewać, wszędzie więc na dodatek uciał jaką piosenkę. Najwięcej podobała mi się piosenka o ułanie i mężnym jego koniu; była ona bardzo smętna, Józa zaś z czuciem śpiewał.

Rekruci wszędzie już prawie byli na wymarszu do Iczyna, Hradca, albo Józefowa i kiedy Józa zanucił ułańską piosenkę, matki i dziewczęta płakały, chłopcy z rozpaczliwą rezygnacją podśpiewywali; jeśli gospoda była blisko, musieliśmy pić dużo — aż strach!

Jednem słowem, gdyśmy szóstego dnia do domu powracali, przyniosłem ojcu zapracowanych siedem guldenów, co znacznie mnie podniosło w oczach całej rodziny. Węzełek z jedzeniem Józa sobie zatrzymał, a starczył on mu i jego głuchej matce na dni kilka.

Jeszcze dwa razy puszczałem się z Józą na wędrówki, zawsze wracaliśmy zadowoleni, z pieniędzmi w kieszeni. Tym sposobem poznałem kawał naszego królestwa: widziałem piękne kościoły i ruiny zamków, nasłuchiwałem się przeróżnych historyj, które następnie, ku wielkiej uciesze domowników, opowiadałem wieczorami nieraz i do późnej nocy.

Teraz przystąpić muszę do drugiej, smutniejszej części mych wspomnień.

.

Czermak parę razy śmiał się serdecznie przy czytaniu. Skończywszy rozdział, oparł się o poręcz krzesła, wsunął ręce do kieszeni i w myśli zaczął porównywać to, co przeczytał, ze swem dzieciństwem. Jedno podobne było do drugiego, nie wyłączając nawet i wędrowek z muzyką, toż i jego lata szkolne przeszły na zajmowaniu się grą na skrzypcach i fortepianie, lecz usposobienie jego podczas pobytu w laskiej szkole nie było tak żywym, świeżym, jak Czyżeka, na nim spoczywał smutek i troska. W myśli stanęła przed nim wysoka, chuda, zgarbiona nieco postać, o smugłej, pomarszczonej twarzy, bez wąsów, z kasztanowatymi, gładko uczesanymi włosami, z niezupełnie spokojnymi oczyma, z wązkiemi, zaciśniętymi wargami. Surowość i tkliwy smutek wiał z tej starej twarzy dziadka...

Później znów widział siedzącego na kamiennych schodkach przed białą wiejską szkołą. W ogródkach, około krytych słomą chat, bawiły się dzieci, na podwórzach kury gdakały, z komina wznosił się pomału cienki słup jasnego dymu. Za wsią na pochyłości gór czerniały lasy świerkowe, bliżej stojące sosny czerwieniły się swemi pniami, na lewo bielity się szmaty piaszczystych pól, za niemi jeżył się podkopany hrzydelecki pagórek, nad tem wszytkiem jasny horyzont, oświetlony zaszłem przed chwilą słońcem.

Młodzieniec zamknął oczy, na rzęsach jego coś zabłyszczało.

IV.

Nauczyciele siedzieli jeszcze przy stole, na którym stała ogromna misa, pełna knedli ¹⁾, śliwkami nadziewanych, suto oblanych masłem, kiedy zjawił się w kuchni dziadek siwowłoso. Był pochylony, nawet garbaty nieco, jego mała głowa głęboko wsunięta była w ramiona, twarz miał czerwoną jak piwonia, oczy pełne blasku, zdrowe, śnieżnej białości zęby. Na głowie miał okrągłą barankową czapkę, na szyi czerwony, perkalowy szalik, na kokardę zawiązany; ubrany był w krótką sukienną kurtkę, wełnianą, wytartą kamizelkę, w skórzane, spleźnione spodnie, w filcowe papucie; w ręce niósł wrzeczono, nawinięte przędziwem; z kieszeni wyglądała mu krótka fajeczka.

— Kogo widzę! nasz „scholasticus” — radośnie witał nauczyciel.—Oto, bracie, dziadzio Podružka, ojciec mojej żony. Nazywam go „scholasticus,” bo ma dwu zięciów kantorów, zna się również sam na tem rzemiośle, a posiada wiele rozumu.

— A ty, złośliwczu! — zaśmiał się ochryple starsuszek. — Daj nam Boże dobre odpołudnie ²⁾ i niech

¹⁾ Knedle—ulubiona potrawa Czechów: duże kule z ciasta, rozmaicie przyrządzane.

²⁾ Obok „dzień dobry“ używają Czesi pozdrowienia „dobre odpolednie.“

wam Bóg błogosławi. Klnę się, iż nie przypuszczałem nawet, bym do was na obiad trafił, ale wy jadacie późno, po pańsku...

— Siądźcie, ojcze, z nami, siądźcie — zapraszał gospodarz, przysuwając krzesło.

— Dziękuję bardzo, już się odbyłem z tem zajęciem, a wiesz dobrze, iż jedzeniem nie przejmuję się wcale—odpowiedział.

— Chodźcie, chodźcie, knedlik wam nie zaszkodzi! A to nowy mój pomocnik, Karol Czermak... — prawil pan kantor.

Starzec położył wrzeczono na ławeczce przy piecu, badawczo wpatrywał się w młodzieńca, kiwając szybko głową.

— Witam, witam, a to młodzian, jako trzcina! Słyszałem już trochę o panu, lecz nie było w tem nic pomyslnego—mówił, podając mu pomarszczoną rękę.

Pomocnik spojrział na starca ze zdziwieniem i przerażeniem zarazem.

— Pan gotów temu wierzyć—śmiała się pani—pan jeszcze nie zna mojego tatusia!—Ma już lat osiemdziesiąt dwa, a kole, jak ciernie.

— Osiemdziesiąt dwa? — pytał zdziwiony preceptor.

— Tak, panie, chwalić Boga, rozpocząłem rok osiemdziesiąty trzeci i już niedługo pójdzie się do Hajau ¹⁾—zachichotał staruszek. — No, żebyście na mnie nie narzekali, wezmę knedlika.

Zapatrując się na drugich, przekrajał łyżką knedlik i wziął połowę.

— My takiej starości nie doczekamy — dorzucił nauczyciel.

— Nie doczekamy, nie doczekamy—mrucał Podróżek—widać to po was! Jabym was jeszcze w nie-

¹⁾ Nazwa cmentarza miejscowego.

jednem prześcignął, ja i zatańczyć potrafię, a kto wie, możeby się we mnie jaka piękna dziewczyna zakochała?...

— A to nasz tatuś wygaduje! Kto go nie zna, nie wiem, co sobie o nim pomyśleć może.

— No, cóż takiego wygaduję, czy to nie jest prawda?—przekomarzał się Podróżek, nabierając drugą połowę knedla. — Czyż nie jesteście piecuchami, wiecznie w płaszczach? Spójrzycie się na mnie, moja skóra i zimno zniesie.

— Ba, wy z lepszych czasów pochodzicie — dodał kantor.

— A niechże cię! z lepszych czasów! Tylko myśmy się nie pieścili, ale wtedy jeszcze gorzej bywało: mór, głód, wojna... Boże uchwaj! ludzie jednak byli jako iskry. A, Karol Czermak, dobrze, dobrze. Kościelny Dolejsz wspomniał też o Czermaku, był on proboszczem gdzieś koło Pragi, a według Dolejsza, wielki wydrwigrosz—ciągnął Podróżek.

— Iluż jest na świecie Czermaków, podobnie jak Czyżyków, lub Stehlików — roześmiał się nauczyciel.

— To kościelny Dolejsz nie ztąd pochodzi? — zapytał się Czermak, przesuając wzrokiem po ścianach.

— Gdzieżtam, pan proboszcz przywiózł go z sobą z równin, a kościelnym został dopiero po śmierci swego poprzednika — objaśniał Podróżek, a wzięwszy kołowrotek z kąta, mruzczał sobie:—Chodź, chodź stare wrzeciono.

A nasunawszy przedziwo, zabrał się do roboty.

Nauczyciele obiad dojadali, a pani sprzątała ze stołu.

— Patrzcie, jak się pan nauczyciel zarumienił, widocznie będzie mu służyło nasze powietrze—dodała żartobliwie.

— Dlaczegooby nie służyło, przecież tu wszędzie góry i góry. I dziewczęta tutejsze wszystkie niby jabłuszka rumiane—mruczał Podrużek.

— Jedna od drugiej ładniejsza, a najpiękniejsza jabłuszko zawsze czerwone bywa — dodał pryncypał, nakładając fajkę i spoglądając zukosa na pomocnika.

Tenże siedział zadumany, jakby nic nie słysząc. Wszyscy zamilkli, tylko kołowrotek kręcił się głośno.

— Czybyś pan uwierzył, mój tatuś trzy razy był żonaty! — przerwała kantorowa, zwracając się do pomocnika.

Starzec zachichotał w takt odgłosu kołowrotka, a wyciągając nici, gawędził:

— Pierwsza moja żona była Katla ¹⁾, bezdietna, druga także Katla nic mi dziatka nie zostawiła, aż dopiero trzecia, również Katla, obdarzyła mnie oto temi dwiema córkami. Wszystkie one na tamtym świecie, a co jedna, to była lepsza, ale gdy, uchowaj Boże, zjawię się tam między niemi, cała ich dobroć przepadnie.

— Więc wszystkie trzy Katle—ze śmiechem dodał pomocnik.

— Wszystkie, jak już powiedziałem, przebacz mi Boże!

— Nasz dziadzio pracuje, jak młodzik, cały dzień potrafi bez zmęczenia rozbijać grudy ziemi na polach—odpowiadał nauczyciel.

— Chwalicie mnie, chwalicie, bo wiosna się zbliża, wszak prawda?

Śmiał się Podrużek, a przymrużywszy oczy, wydawszy usta, przytakiwał głową, patrząc się w stronę zięcia.

¹⁾ Katla, Kacza, Katinka—zdrobniate imię Katarzyna.

— Przypatrzcie się, jak pędzi nasz proboszcz! — zawołała gospodyni, bezwiednie w okno spojrzawszy. Wszyscy powstali i zbliżyli się do okna.

Proboszcz Stehlik, przygarbiony, w czapce barankowej na głowie, w długim, burym surducie, sięgającym do cholew butów, szedł wielkimi krokami z góry ku wiosce, aż śnieg odlatywał z pod jego ogromnych butów.

Pan nauczyciel poszedł do pokoju szkolnego i stanąwszy w oknie, śledził za proboszczem.

— Dokąd on idzie? — zapytywał — widocznie do Żalaków; gdyśmy rano byli u proboszcza, spotkałiśmy się z nimi.

— Do Żalaków? oj, oj! — wykrzykiwał Podrutek ze zdziwieniem. — Ślicznie dziękuję, a to proboszcz się namęczył, nim ich pogodzi!

— Pepiczka mówiła, że bardzo wyrzekali — dodał Czyżek.

— Oj, oj! toż oni mają ciężkie życie, uchwaj nas Boże, moi mili! — narzekał starzec, odłożywszy robotę zupełnie.

— Co takiego?... nieszczęście?... — pytał Czernak.

— Nie można tego właściwie nieszczęściem nazywać, ale dla tych starych to jest nieszczęście. Mamoną była im wszystkim; wiecznie narzekali, iż mało mają pieniędzy i bezustannie starali się o ich pomnożenie. Młyn tak pięknie wyporządzili, że równego mu nie było w całej okolicy; wystawili stodołę, stajnię, inwentarza mieli bardzo dużo, a wszystko to przygotowali dla swego jedynaka.

— A Lojziczek (Aloizy) wyglądał, jak wymoczek — wtrąciła gospodyni, myjąca naczynie.

— Był i został takim; gdyby go kto uderzył w plecy, jużby po nim było. A to przechwalanie się Lojzikiem, odpuść mu Boże! Na ustach mieli tylko swego syna. Gdzie się pojawił Lojziczek, tam wszystkie panienki siedziały, niby cherubinki. Z gór i do-

lin, słowem z całej okolicy przychodziła propozycya za propozycją. Młode dziewczęta robiły do niego oczka czułe, zastawiały takie sieci, że mogło się do nich złapać trzy kopy kwiczołów... swat za swatem przybiegał, ale wszystko daremnie. Lojzik był niewzruszonym. Matka zwykle mawiała: Mój syn może wybierać, ma dość na to czasu! A ojciec dodawał: Nie chcę go do tego namawiać, niech robi, jak mu się podoba! I Lojziczek postąpił według swego upodobania. Zjawiła się w Milowie u naczelnika okręgu nowa kucharka, czy pokojówka... Młodzieńcze, jam już starzec, nie wiem kiedy mnie Bóg do siebie powoła, nie chcę więc grzeszyć, ale muszę powiedzieć, że podobną ona była do istot nadziemskich.

— Tylko, że trudnoby jej było unieść się do nieba... — zauważył nauczyciel. Zbliżył się do stołu, usiadł z wyciągniętymi nogami i dalej słuchał opowiadania dziadka, który nie zwrócił uwagi na wzmiankę zięcia, tylko skrzywił się nerwowo i ciągnął znów:

— Patrzyła dumnie, niby rycerz z dawnych czasów, wysmukła była, jak topolka, w oczach pełno błędnych ogników, każde jej poruszenie wyrażało wielką pewność i odwagę, głowę trzymała wyniośle, twarz miała, jako różę, ręce pulchne a jędrne; gdyby się ich choć dotknąć szpilką, krewby wytrysła całą fontanną. Widziałem ją parę razy w kościele i zawsze mówiłem: to prawdziwa syrena! Taka wie zawsze o swej urodzie i ta też dobrze wiedziała, że jest piękną. Gdzie się tylko na wieczornicy pojawiła pokojówka milowska, młodzież lgnęła do niej, niby pszczoły do słodkiej wódki. Panienska przyszła z miasta, gdzie jej „pani”, mówiono, więc chętniej przebywała w towarzystwie urzędników kancelaryjnych, których w Milowie i okolicy cała jest sfora. Aż nagle rozeszła się wieść, że młody Żalak rozkochał się w niej ogniescie. Było to prawdą. Przebiegła dziewczyna oce-

niła wkrótce jego wartość, a raczej wartość młyna, zauważyła, iż młodzież we frakach, to trutnie, i zaczęła okazywać zajęcie się Żalakiem.

— Co ten człowiek nie wyrabiał, wprost szalał! znów wtrąciła kantorowa. — W domu chodził z kąta w kąt, nie mówiąc do nikogo, ot jak lunatyk. O niej tylko myślał i za nią biegał. Nakupił jej moc klejnotów, niby królownie, obwoził ją gdzie jeno chciała, jako księżniczkę.

— A niechno podczas zabawy ta czarodziejka uśmiechnęła się zalotniej do którego z miejskich galantów, mało mu oczy z orbit nie wyszły; nieraz wracał z przejażdżki smutny, przygnębiony — dorzucił kantor.

Przy tych uwagach stary Podróżek poruszał głową i wciąż pokaszliwał. Skoro zięć zamilkł, podjął wątek przerwane opowiadania:

— Ojciec zaklinał, że łzami syna prosił, aby tego głupstwa nie czynił. Matka na kolana przed nim upadła, za nogi obejmowała, wszystko daremnie, nic nie pomagało. Wtedy ojciec ostro się postawił i oświadczył, że mu nie da młyna. Ho, ho, stary jest uparty, ale skoro się przekonali, iż syn ich marnieje, cierpi, zlekli się o swego Lojziczkę i udzieliли pozwolenia. Pokojówka została gospodynią u Żalaków.

— A jakie było wesele, miły panie preceptorze! — westchnęła pani domu.

— Panna młoda wyglądała, jak anioł z wyższych światów, ślubna jej szata bielszą była od pierwszego śniegu, spadającego na nasze Karkonosze, koło Ś-go Wacława, kędziory włosów wiły się po białej jej szyi, bućki miała niskie z cieniutkiej skóry, sznurowane... — Pan nauczyciel, wyliczając te wszystkie piękności, roześmiał się i zawołał: — No, dziaduniu, opowiadajcie dalej.

— Resztę to już sobie dośpiewa pan pomocnik. Młoda młynarka niczem się nie zajmowała, nie ją nie obchodziło, a wiecznie marzyła o rozrywkach światowych, chciała jeździć jak przed ślubem. Na każdym balu w okolicy musiała być wspaniale ubrana, a mąż posłusznym był barankiem. Nieraz wypraszał się od tych zabaw, tem więcej, że mu się mocno nie podobały umizgi mieszkańców zamku, ale sprytna małżonka umiała go łagodzić i potulny na wszystko się godził. Starzy często narzekali, że jednak mogli rządzić w młynie, jak pierwej, bo byli tylko na dożywociu, więc znosili to wszystko. Przytem mieli nadzieję, iż się synowa uspokoi, spoważnieje, zwłaszcza, gdy małeństwo zakwili w kolebce. Teraz spadł największy cios: młody zaczął w jesieni niedomagać, a obecnie gorzej mu z każdą chwilą. Przeżyli z sobą rok tylko, nie wiele też mają przed sobą. Rodzice wiedzą o groźnym stanie syna, chodzi im tylko o to, żeby ta przebiegła kobieta nie zagarnęła wszystkiego; ale mnie się zdaje, że ona ich przewyższa chytrą, a z powolnym mężem zrobi, co zechce.

— Pewnie dlatego przyszli na plebanie; chcieli, żeby proboszcz pomówił z synem i ją odwiódł od zamiaru zagrabienia całego majątku — powiedział nauczyciel.

— To będzie dla proboszcza ciężka sprawa, choć umie on doskonale zabierać się do ludzi. Sądzę, że jego umysł kapłański nie wyrówna przebiegłości zamkowej pokojówki — znów dodał Podróżek.

— O! następstwo waryackiej miłości, panie preceptorze — przydała kantorowa.

— Z tym młodym tak już źle bardzo? — zapytał pomocnik.

— Choroba szybkie robi postępy i zbliża się do kresu; niedawno jeszcze chodził, a teraz z łóżka się wcale nie podnosi — odpowiedział Podróżek.

Nastąpiła chwila głębokiego milczenia.

— Naturalnie proboszcz zrobi wszystko, co jest w jego mocy — podjął znów nauczyciel. — Umie on rozsądzać ludzi, a każda niesprawiedliwość i krzywda na świecie jest mu wstrętną. Doskonały to kaznodzieja, aż się kościół trzęsie od jego kazania. Pismo Święte umie od deski do deski, gdy się zaś zapali, mówi na ambonie dwie, trzy godziny bez żadnego przygotowania. Nasz Wacław, gdy jeszcze bywał ministrantem, jednego razu, siedząc w zakrystyi, zapisywał sobie kazanie proboszcza, dla pokazania go matce. Naturalnie była to główna treść tylko. Kartka ta wpadła do rąk księdzu, który zapytał:—Zkąd to wzięłeś? — To jest dzisiejsze kazanie w skróceniu — odpowiedział Wacław. — Czyż to ja mówiłem? — z niedowierzaniem pytał proboszcz, a poruszając głową, dodał: — To jednak możliwe, tak, możliwe...

Wszyscy się roześmiali.

— Miłosiernym jest on dla biednych ludzi, wszyskoby im rozdał — rzekła kantorowa.

— Ma on w okolicy wielu zamożnych przyjaciół, których dzieci zapisał na swój koszt do „Maticy Czeskiej” ¹⁾, za Albinę złożył również pięćdziesiąt guldenów. Zwykle on mawia: Nie odziedziczycie po mnie pieniędzy, a książki zostaną wam do śmierci; czytajcie, kształćcie się, to stokroć więcej znaczy, niż garść pieniędzy, które łatwo się rozejdą i wtedy w głowie i kieszeni pustki zostaną. Nieraz odzywał się do ministrantów: Chłopcy, dziś nie mam pieniędzy, ale jutro, da Bóg, będzie dwa razy tyle! Oni śmiechem odpowiadali, wiedząc, że ich proboszcz nie okłamuje — kończył nauczyciel.

¹⁾ „Matica Czeska” stowarzyszenie naukowo-literackie, istniejące od 1831 r. Członkiem stowarzyszenia, pracującego pożytecznie w szerokim zakresie, może być każdy po zapłaceniu 50 guldenów. (Prz. Tłóm.)

— A żadnych zbytków nie lubi, prawdziwy mieszkaniec gór — dorzucił dziadunio.

— No, teraz, to już jest lepiej— roześmiała się kantorowa. — Przed pięciu laty nosił taki zniszczony cylinder, że aż strach było na niego patrzeć. Cały pomięty, wykoszlawiony, połamany, słowem straszny. Pepiczkę to gniewało, prosiła bezustannie, aby już nie nosił tego grata. On jednak zawsze na to odpowiadał: Moja Pepiczko, to wcale nie grat, włóż tylko trochę pierza, daj nową podszewkę, a cylinder się wypróstuje i będzie jak nowy, jakby dopiero z jarmarku przyniesiony. Nie chciał go wyrzucić dotąd, dopóki mu Pepiczka nie kupiła nowego. A jeszcze potem narzekał: Tyleś wydała na ten zbytkowny sprawnik; szkoda mi starego kapelusza; w tym nawet chodzić nie umiem, obija całą głowę, uciska...

— Ale to już czas do pracy — przerwał nauczyciel, oczyszczając swą fajkę.

— Ja też pójdę do siebie, trochę poczytać. Do widzenia! — żegnał obecnych pomocnik.

— Tylko niezadługo do nas powróć — wołał za nim Podrużek.

— Przyjdę, przyjdę! — odpowiedział, drzwi zamykając.

— Dostałeś sztywnego preceptora, nawet nie zasługujesz na takiego — zwrócił się Podrużek do zięcia, spoglądając nań z boku.

— Jenemu mi się zdaje, że on nie do tego świata — odpowiedział nauczyciel i zabrał się do naprawy rozebranej na części gitary.

Pomocnik, przyszedłszy do swej izdebki, wziął się do czytania pamiętnika kantora; pierwszą stronicę musiał trzy razy przeczytać, zanim pojął dokładnie jej treść.

ROZDZIAŁ II.

O Niemcach i miłości.

W Sobotę, na tydzień przed Św. Wacławem, powiedział mi ojciec: Trudna rada, musisz Waszo (Wacku) pobyć u Niemców; jutro rano pójdziemy do nich razem poszukać miejsca dla ciebie!

Po wysłuchaniu tej wiadomości doznałem podobnego wrażenia, jak uczeń, gdy wyleje atrament na świeżo napisane zadanie. Jakkolwiek oczekiwałem zawsze tej chwili, w której mi przyjdzie zamieszkać u Niemców, jednak był to cios straszny! Natychmiast do Jozy pobiegłem i wypowiedziałem wszystko.

— To ja teraz sam muszę wędrować, nie wesoła to będzie muzyka — mówił ze łzami w oczach i uchwycił się za gardło, jakby go coś dławiło.

O drugiej po północy obudził mnie ojciec. Nie chciało mi się wychodzić z ciepłego łóżka, a ze strachu drżałem, jak w febrze. Zwinąłem się w kłębek, przymrużyłem oczy i rozmyślałem nad tem, co mnie czeka. Mieszkaliśmy u stóp gór, a Niemcy były za nami. Przeszedłem kawał ziemi, byłem przyzwyczajony do wszystkiego, tam mnie jednak nic nie ciągnęło.

Te ich krótkie, pełne guzików kabaty, aksamitne kamizelki, spodnie skórzane do kolan, wążkie, wysokie buty, kapelusze z szerokiemi rondami i piórkami, nigdy mi się nie podobały. Gdym słyszał ich chrypliwą, ostrą mowę, zawsze myślałem: Boże mój, czyż ich podobna zrozumieć! Kilka razy byliśmy u nich z kapelą, ot, wtedy byłoż to śmiechu, kiedy Niemki zaczęły podrygać, a Niemcy tupać i wywijając niezgrabnemi nożyskami. Rzadko oni śpiewali, a jeśli który zaśpiewał, nie można było wprost słuchać, a jam sobie myślał: I po cóż on śpiewa, kiedy nie z tego melodyjnego nie wychodzi. Mówili między sobą, jakby gdakali, a śmieli się tak głupio, że nasi trębacze patrzyli na nich ze śmiechem i nieraz przestawiali trąbić. Widywałem również furmanów, wiozących z fabryk z gór towary na kolej. Wozy ich przypominały arkę Noego: całe płótnem nakryte, z boku obwieszane workami, sitami i latarniami; wozy te zaprzęgnięte były w sześć szerszych, niż dłuższych koni, a miały koła szerokie na pół stopy. Furmani nosili niebieskie, płócienne koszule, na głowie szydełkowe czapki z chwastami, buty do połowy goleni, w ustach trzymali zawsze krótkie, okopcone fałki. Jeden do drugiego był podobny, niby odbitka! Idąc koło koni, przechodzili z jednej na drugą stronę, a senkami oczyma wodzili po przestrzeni; robili wrażenie bezmyślnych, leniwych istot.

— Jeszcześ w łóżku?!—zawołał ojciec—wstawaj, nie nie pomoże—dodał.

Zerwałem się z pod pierzyn i śpiesznie ubrałem.

Już była trzecia godzina, gdyśmy wychodzili; mama odprowadziła nas aż do stodoły. Na świecie noc jeszcze była; niebo ciemne, mało na niem gwiazd, a i te, co trochę się błyszczały, zapadały się powoli w mrok firmamentu.

Szedłem obok ojca, niosącego zawiniątko z placzkami, i drżałem z zimna.

W lesie było jeszcze ciemniej; piaszczysta, kołowa droga bielila się nieco, ale dokoła roztaczały się czarne, szumiące bory.

Podążaliśmy do Lanowa za Wichlabimem. Ojciec mój znał starego muzykanta, który po trzydziestosześcioletniej wiernej służbie swemu monarsze, otrzymał emeryturę — sześć krajcarów dziennie, ten muzykant miał znów znajomych w Lanowie i posłał do nich ojca...

Szliśmy wciąż w górę, a wydostawszy się na znaczną wysokość, zsuwaliśmy się ku dolinie. Wyszedszy z gęstego lasu, znaleźliśmy się na odłamie góry, przy wielkiej pasiece. Było tam już jasno, prześlicznie! Zachód wyglądał, jak do białości rozpalone żelazo.

Na trawie, gałązkach drzew, listkach kwiatów, wisały perły rosy, a z pasieki dochodziła cudowna woń aromatyczna: składały się na nią zapachy żywicy, rumianku, macierzanki, wrzosu, konieczyiny, poziomek.

Nie widać było nic, prócz lasów, gdzieniegdzie tylko, przez większą szczelinę, ukazywał się dalszy horyzont, a na nim zarysowywały się kontury budynków i wieży kościelnej.

Było coraz jaśniej; fioletowe mgły, kładące się na ulach pasieki, znikły gdzieś w trawie, wschód słońca przemieniał się w ognistą kulę, z jakiej w całej pełni blasku ukazało się złotowłose słońce. Zaledwie się pojawiło i promiennie spojrzało na świat Boży, wszystko radością zadrgało promiennie, te iskry, różowawe światelka, mgły, obłoczki, wszystko wokoło niego się uwijało.

I zaraz zrobiło mi się ciepło, chłód przejmujący odbiegł mnie zupełnie, a poczułem ogromny apetyt na maliny, tworzące istny kobierzec. Pomyślałem sobie: Mój Boże, ileż się tu Twych darów marnuje! Te ma-

liny wystarczyłyby dla stu dzieci naszej wioski i to przez całe lato!

W Lanowie stanęliśmy o dziesiątej godzinie i udaliśmy się do krewnych naszego znajomego muzykanta. Szczęśliwie trafiliśmy, bo właśnie mieli oni zamiar wziąć kogo do siebie, na moje jednak miejsce miała pójść do rodziców ich córka Anna. Przedewszystkiem chciałem zbadać, czy i ona, podobnie jak Niemka, będąca u Luczków, kładzie język między zęby. Nie zauważyłem tego, tylko spostrzegłem, że ma olbrzymie stopy. Mój przyszły „ojciec” i „mama” mówili do mnie uprzejmie, ale ja stałem, jak pień, myśląc z radością o ucieczce.

Po umowie, że ojciec przyprowadzi mnie na stałe w dzień św. Wacława, wracaliśmy do domu.

Tych dni kilka, jakie spędziłem w domu, przeszło mi jeno na pożegnaniach. Chodziłem od chaty do chaty, od towarzysza do towarzysza, żegnając ich serdecznie. Żegnałem się również z krowami w oborze, ze wszystkimi znajomymi psami, królikami i gołębiami. Gdy w dzień patrona Czech opuszczałem dom rodzicielski, strasznie płakałem. Mama wciąż mnie obejmowała, całowała, błogosławiła na drogę. Młodszy bracia i siostry zaczęli szlochać, ale że to było bardzo wcześnie i zimno, więc prędko uciekali pod pierzyny, tuląc tam swą boleść. Ciotka Nana stała przy płocie ogrodu z rękami na piersiach założonemi i wdychając narzekając:

— Drogi chłopaczku nasz, gdzie cię prowadzą biedaku!

Wszystkie moje rzeczy, zapakowane w torbie z wołowej skóry, niósł ojciec na plecach, ja trzymałem instrumenty tylko.

Co się działo ze mną przez ten pierwszy dzień w Lanowie—nie umiem opowiedzieć, gdyż łzy nie dozwalały mi ani słyszeć, ani patrzeć. Skoro ojciec miał już odchodzić do domu, stanąłem w kącie i za-

czałem głośno szlochać. Ojciec, nie wiedział co czynić, wreszcie objął mi głowę, ucałował ją serdecznie i spiesznie się oddalił.

Niemka szła do nas z radością, nie uroniwszy ani jednej łzy.

Zostałem więc między tymi Niemcami, jak Robinson na wyspie.

Na drugi dzień mój nowy ojciec zaprowadził mnie do szkoły. Kierownik jej nosił jeszcze warkocz z kokardą, ale pomocnika miał szykownego; był to przystojny, dwudziestoletni młodzieniec. Żaden z nich nie umiał słowa po czesku; przemawiali do mnie, jak tylko umieli, lecz ja wciąż milczałem, nawet wtedy, gdy mnie pod brodę brali, włosy gładzili. Wreszcie musiał im ktoś powiedzieć, że jest tam dziewczyna Czeszka, rozumiejąca niemiecki. Posłali po nią natychmiast i prowadzili ze mną rozmowę, jako z posłem tureckim—przez tłumacza.

W Lanowie kształciłem się dalej w muzyce. Kantor uczył mnie na skrzypcach, pomocnik na flecie i klarynecie. Za domem strasznie tęskniłem; gdyby nie obawa przed zabłądzeniem w tych obszernych borach i górach, byłbym już wziął nogi za pas i popędził do swoich. Przerażała mnie i gnębiła myśl, że do świąt Wielkanocnych mam tu siedzieć bez przerwy. Myślałem sobie, że to nawet niemożliwe, abym tak długo nie widział naszej wioski, chałupy, ojca, matki, sióstr, braci, towarzyszy. Nie mogło mi się w głowie pomieścić, abym nie miał ustawiać jasełek na Boże Narodzenie, śpiewać kolendy, o północy dwa-naście razy zatrąbić.

W szkole lubiano mnie dosyć, bo się pilnie uczyłem, ale było mi to obojętne, nic bowiem nie rozumiałem po niemiecku.

W trzy miesiące później umiałem już nieco tego cudacznego języka, lecz z czytaniem szło mi ku-

lawo. Pożyczano nam w szkole ciekawe książki, a choć je przesyłabizowałem jednym tehem, nie wiedziałem, com przeczytał. Jedyne z Lanami wiązała mnie muzyka, gdyby nie ona, uciekłbym z tego smutnego, obcego kraju, w tę straszną zimę, podczas której było wszystko śniegiem zasypane, otulone mgłami, a dni takie krótkie! Lasy, góry, pola były białe, jak widma, z Kozich Grzbietów dał wiatr przeraźliwy, a mnie się zdawało, że to tylko ta wioska, jedna na świecie, pogrążona w takich zaspach śnieżnych, a ja między tymi obrzydliwymi Niemczurami sam jeden, opuszczony, biedny Czech. Tylko w czasie jasnych, księżycowych nocy było mi raźniej na duszy. Strom gór nad wioską ożywiał się, przy niebieskawem świetle na białej powierzchni majaczyły się fantastyczne widma, przypominające mi postacie z legendy o zaczarowanej ziemi. Młodzi i starzy jeździli wtedy na saniach do późnej nocy.

Kiedy siedziałem w takich saniach z kilku towarzyszami, a kierownik spuszczał je ze stromu, miałem wrażenie, iż pędzę, lecę w przepaść, gdzieś do królestwa podziemnego, że ten pęd szalony nie będzie miał końca. Góry Karkonoszkie, wolne od mgieł, patrzyły na mnie lodowato, a ja szukałem oczyma na wszystkich wierzchołkach Rubenla ¹⁾ z długą śnieżną brodą, patrzącego na doliny swemi wypukłemi ślepiami.

Skoro sanie zsunęły się i zatrzymały na dole, z wesołym okrzykiem ciągnęliśmy je na górę.

Z muzyką, w której szybkie robiłem postępy, szło mi bardzo pomyślnie. Do Lanowa przeniósł się muzykant wojskowej kapeli, a rozejrzawszy się, wziął

¹⁾ Rubenl—duch górski. Wiara w jego istnienie pojawiła się u Czechów w XVII st., gdy zaczęli szukać w Górach Olbrzymich—Karkonoszach—drogocennych minerałów.

nas kilku do nauki i uczył mnie starannie gry na dętych instrumentach. Był on parę lat w Józefowie, w Hradcu i mówił po czesku. Jemu tylko, tej artystycznej duszy, zawdzięczam to, że przez trzy lata wytrzymałem między tymi Niemcami.

W drugim roku chodziłem już z kapelą, jako jej rzeczywisty członek, brałem jednak tylko połowę zapłaty, ale i to mi wystarczało na opłatę nauczycieli, całkowite oporządzenie i złożenie jeszcze kilkunastu złotych...

Mimo, że byłem zawsze szczupłym, mizernym, jako muzykant miałem uznanie, lubiono mnie powszechnie i mówiono mi: czeski Wencliczek. Letnie wędrówki z orkiestrą bardzo mi się podobały, byłbym chętnie pozostał dłużej, ale Niemeczka musiała wracać do domu i ojciec przyszedł po mnie. Towarzyście odprowadzili nas daleko, a najmilszy mi, Feliks Zef, przeszedł całą milę i ciągle płakał, narzekając, że czeski Wencliczek odchodzi na zawsze.

Znów przechodziliśmy te piękne lasy, urocze doliny, wspaniałe góry. Ojciec już napomknął, iż muszę pójść do Iczyna kształcić się na preceptora.

Sprzeciwiałem się temu, sam nie wiem dlaczego, i dowodziłem, że mi się zawód nauczycielski nie podoba, że muszę zostać pilnikarzem. Czemu to właśnie rzemiosło wybrałem, nie potrafiłbym również odpowiedzieć.

— Rób, chłopcze, jak chcesz, masz przecie dość swego rozumu. Nie widziałem ja ani jednego tłustego pilnikarza, a tłustego kantora bardzo często. Każde zajęcie ma naturalnie swe ujemne strony, ale i mówić nie warto, wszak sam to rozumiesz.

W domu dziwiono się ogromnie, że w Niemczech nie nie podrosłem. Na drzwiach naszych porobione nacięcia wskazywały miarę mego wzrostu; okazało się, iż od ostatniej nie przybyło mnie ani na trzy palce.

Kowal nie chciał mnie przyjąć dla słabych sił fizycznych, ślusarz miał jnż innego chłopca, pilnikarz żądał wiele pieniędzy, zostałem więc w domu, a siedząc od rana do wieczora przy kominie, przędłem—aż warczało.

Jozy nie zastałem już we wsi; matka mu umarła, a on ze swoją harfą powędrował w świat.

W niedzielę grywałem w kościele, co było bardzo pożądane, nieraz chodziłem też do gospody.

Tak mi przeszła cała zima. Na wiosnę kilku grajków z naszych gór wybierało się w świat za zarobkiem. Przyszli oni do nas i zapytali, czybym nie zechciał im towarzyszyć, jako waltornista, którego brak im do *sexty*. Wstałem od kołowrotka i na ich żądanie zabrałem się do waltorni. Kiedy im wzięłem akord—oniemieli, następnie wyciągnąłem do wysokiego *c*, wykonałem parę trel i stanąłem na *c* basowem. Klarynecista—poznałem go po wążkich ustach—roześmiał się radośnie i zwrócił się do mego ojca z prośbą o udzielenie mi pozwolenia. Nie miałem stałego zajęcia, więc rodzice zgodzili się na moją wędrowną podróż po Wielkiejnocy. Tymczasem przygotowywałem się do podróży: szykowałem sobie buty, grzebień, szczotkę i zapakowałem to wszystko do pożyczonego mi przez ojca tłumoka skórzanego. Matka, żegnając mnie, gorąco płakała, ojciec upominał, ażebym się dobrze sprawował, złego wystrzegał, służył Bogu i nie zapominał o domu rodzicielskim. Przed wyjściem z wioski urządzaliśmy częste próby i szło nam już jak po maśle.

Najpierw udaliśmy się do zamku w Milowie, do naczelnika okręgowego, adwokata, urzędnika powiatowego i do innych figur kancelaryjnych, nawiedziliśmy również zakład kąpielowy, gdzie bawiło już dwóch panów z Wiednia. Wszędzie dawano nam obfitą zapłatę—początek był doskonały.

Chcąc opowiedzieć o całej naszej podróży, mu-

siałbym bardzo wiele napisać. Szliśmy przez Czechy do Morawii, ztąd do wyższych Węgier, potem zawadziliśmy o Polskę, Szląsk i napowrót do Czech. Muzyka była piękna, a wówczas tytułowano jeszcze muzykantów „panami.” Dyrektorzy, adwokaci, piwowarzy rzucali nam i po pięć guldenów, za co kłanialiśmy się uprzejmie, zdejmując nasze kosmate, futrzane czapki.

Na Morawii, w jednej wiosce, niedaleko Litowla zaszedliśmy do małego dworku, w którym najniespodziewaniej spotkałem Jozę Pisztora. Nie wędrował już z harfą, ale był tam polowym i miał rumianą, pulchną, a żywą, jak srebro, żonę—panią polową. Joza obsługiwał ją, niby królową i ze śmiechem powtarzał, że porzucił harfę i ma wysmienite utrzymanie. Młoda pani była ogromnie ożywiona, śmiała się i szczeniotała ze mną, jak z prawdziwym krewnym. Pomyślałem sobie, że człowiek sam nie wie, gdzie go szczęście czeka i radowałem się z losu Jozy.

Po ośmiu miesiącach przywędrowaliśmy do naszych gór. Przyniosłem do domu uskładanych osiemdziesiąt guldenów, miałem też srebrny zegarek, a tyle ubrania, że nie powstydzilby się i urzędnik kancelaryjny. Byłem zaś tak wypasiony, iż na mój widok załamała ręce moja matka.

Drugi raz zebraliśmy oktett, lecz wówczas nie mieliśmy już tyle szczęścia. Przeważnie siedzieliśmy w Niemczech. Po kwartalnej wędrowce powróciłem do domu z szesnastu tylko guldenami.

Byłem jeszcze na podobnej wycieczce dwa razy, ale sprzykrzyła mi się ta włóczęga i pozostałem u rodziców.

Wypadkiem dowiedział się mój ojciec o wolnym miejscu chłopaka u znakomitego stolarza i zaraz mnie tam umieścił. Zaczęło się dla mnie nowe, pełne ciężkiej pracy życie. Nie byłem wcale siłaczem, w domu nie zmuszano mnie do trudniejszej roboty,

więc początkowo szła mi opornie. Wszystko jednak przemogłem. Lata szybko po sobie mijały i ja już zostałem czeladnikiem. Jakiś czas pracowałem jeszcze u swego majstra, a potem wyruszyłem do miasta.

W Nachodzie mieszkał mój znajomy zegarmistrz, udałem się tedy do niego. Dowiedziałem się tam, iż miejscowy fabrykant fortepianów, skrzypiec i gitar potrzebuje stolarza. Na zapytanie zegarmistrza, czybym zechciał objąć to miejsce, odpowiedziałem twierdząco. Mój znajomy poszedł zaraz do fabrykanta i niemal w godzinę stałem już przy wielkim warsztacie. Wkrótce bardzo przekonałem się, że właściwie nie nie umiem, lecz nie rozpaczałem, a pracowałem jak wół, przyglądając się bacznie nietylko wyłącznie robotom stolarskim, za co mój pan polubił mnie prędko.

W pracowni poznałem miłego towarzysza, Ferdynanda; pochodził on ze Szląska, skończył cztery klasy filologiczne, ale po śmierci ojca musiał na siebie pracować i przerwać dalszą naukę.

Ferdynand był mi życzliwym, wszystko chętnie objaśniał, a w niedzielę zaprowadził na chór do muzykantów.

W ten sposób dostałem się znów do muzyki, a że grałem na kilku instrumentach, dobijali się o mnie. Gdym w kościele wykonywał na trąbie trudne solo, wszyscy się na chór oglądali.

W Nachodzie byłem zupełnie zadowolony; w warsztacie wprawdzie trwała robota od piątej rano do siódmej wieczorem—tylko do szóstej w sobotę; miałem jednak dobrą strawę i panował u nas wzorowy porządek. Po pół roku dostałem, prócz utrzymania, trzy guldeny, więc ubierałem się porządnie, wyuczyłem się płynnie mówić po niemiecku (z książek i w podróży od różnych kancelaryjnych pisarzy)—słowem, miałem dobrą markę u ludzi.

Nie byłem ja do świata; gdym miał czas wolny, siedziałem w domu nad książką, pieniędzy na nic nie traciłem, przeciwnie skrzętnie je zbierałem.

Jednego razu, na wiosnę namówił mnie Ferdynand na przechadzkę. Wstąpiliśmy do gospody na szklankę piwa. Nie było tam wiele osób, lecz bardzo, bardzo wesoło. Gospodarz, niby Zeus w obłokach, siedział przy oknie, żona jego sama się gośćmi zajmowała. Dokoła pieca siedziała młoda drużyna obojej płci. Domowa dziewczyna była najpiękniejszą. Głowy jej nie ozdobiła girlanda róż, ani szpilki, ani chustka wyszywana, jeno dwie wielkie kosy. Na szyi nosiła talar z krzyżem, na czarnej wstążeczce uwiązany. Piersi całe okryte miała czerwoną, kaszmirową chustką; suknia jej była z pięknego, białego płótna, z szerokim u dołu szlakiem i zakładkami; z pod krótkich, buflastych, śnieżnej białości rękawów od koszuli wyglądały utoczone wprost ręce. Z całej jej postaci tryskało życie.

Jak zauważyłem, Ferdynand znał ich dobrze; spostrzegłszy mnie, zaczęli się śmiać z zadowolenia, bo wiedzieli, że choć odludek, jestem dobrym muzykantem. Żartowali, iż świętoszek raz się przynajmniej pomiędzy nich dostał. Ale ja się nie śmiałem, lecz rumieniłem przeraźliwie, gdyż szybko zrozumiałem, że bawiono się w fanty, a wykup stanowił słodki owoc, zwany pocałunkiem. Serce mi się ścisnęło, w gardle coś dławilo ze wstydu, ich to zaś mocno cieszyło, zwłaszcza domową dziewczynę.

Wróciliśmy do domu po jedenastej w nocy; zaprzysiągłem się, że więcej nie przestąpię progu tej nieszczęsnej gospody... Osądź mnie, dobry Boże, ja nie wiem, jak się to stało, dość, że za tydzień poszedłem znów do gospody i przyłączyłem się do grających w fanty. Najstraszniejszym był moment, w którym Marynka dała znak, że ma mój fant. Za chwilę trzeba go było wykupić pocałunkiem. Cały płoną-

łem, drżałem ze wzruszenia, wzywając w duszy wszystkich świętych pańskich na pomoc...

Byłem już doświadczonym człowiekiem, ale od spraw ze zmienną płcią piękną chronił mnie anioł aż do dnia obecnego.

Rób, co chcesz, musiałem dać pocałunek, z czego, widoczne to było, Marynka cieszyła się niezmiernie. Nie wiem, jak się to stało, ale, przyznać to muszę, i mnie się ten całus spodobał, i tego wieczora trzy razy jeszcze zagrałem...

Gdyśmy odchodzili do domu, Marynka odprowadziła mnie trzydzieści kroków i serdecznie uściskała za rękę. Krótko mówiąc, od tej chwili miłość nasza wspólna rosła, jak ziarno gorczyczne, co mi się ogromnie podobało.

Marynka mnie kochała, ja ją również, ludzie winszowali mi szczęścia w pięknej, siedemnastoletniej dziewczynie z dobrą gospodą. Mówiłem, iż jestem biednym, więc taki obrót sprawy jest niemożliwy. Sam jednak ojciec dowodził mi, iż szuka tylko pracowitego, bez skazy człowieka, któryby zdjął z niego część kłopotliwego gospodarstwa. Rozmyślałem nad tem długo, mówiąc: mydło w wannie, ryba w strumieniu, bogata dziewczyna dla biednego chłopca, to wszystko nader ślizkie rzeczy, darmo chcesz je uchwycić, wciąż uciekają; mniemasz, że je trzymasz w ręku, gdzie tam! wszystko mi w ręce samo wchodzi, czemużbym nie miał przyjąć oków małżeńskich? Marynka podobną była do ślicznego obrazka, kochała mnie, gospoda paradna, Nachod piękne miasto — wszystko mi się podobało.

Anioł stróż, który mnie chwilowo opuścił, znów rozpostarł swe opiekuńcze skrzydła. Ciężko się rozchorowałem. Jak mi felczer mówił, miałem silne zapalenie płuc i dwa razy krew mi puszczano. Dwa tygodnie, przeleżałem u majstra, a wzmocniwszy się na

siłach, postanowiłem wybrać się do domu, aby tam, w górach, przyjsć do siebie.

Marynka żegnając się ze mną, we łzach tonęła, rozpaczała, jakbyśmy się już nigdy zobaczyć nie mieli. Uspakajałem ją przyrzeczeniem rychłego powrotu. Osłabiony, zaledwie się wlokłem, lecz na moje szczęście był jarmark w Hradcu, i już na wzgórzu, tuż za miastem, dogonił mnie handlujący płótnem z Libszta-tu i za małe pieniądze zabrał na swój lekki wózek i odwiózł pięć mil drogi.

O wy nasze drogie góry! Wy przywracacie życie i zdrowie ludziom umierającym nawet!

W miesiąc byłem zdrów, jako ryba i napisałem, dla porządku, z zapytaniem do pana majstra, czy mam powrócić. Pan z Nachoda odpowiedział, że robota nie mogła czekać, więc, choć mu to przykro było, przyjął nowego, równie zręcznego robotnika.

Pisałem do Marynki, nie otrzymałem jednak odpisu ani na pierwszy, ani na drugi list.

Muszę przyznać, bolało mnie to niezmiernie, serce się z żalości ścisnęło i niejedną noc bezsennie strawiłem. Słońce nie dla jednego światka świeci, nie koniecznie Marynka ma być moją. Zostałem w domu, pomagałem ojcu w robocie; orałem, kosiłem, młóciłem, wiązałem snopy, a wszystko szło mi na pożytek, gdyż zmężniałem i wyrosłem.

Nieraz też i grywałem, czem sobie trochę grosiwa zarobiłem. Wówczas zacząłem naprawiać instrumenty muzyczne; sporządziłem kilka skrzypiec i fortepianów w okolicy.

Książki zbierałem zkaąd tylko się dało; leżąc na górze przy małym okienku, czytywałem dokąd słońce przyświecało. Skoro litery zaczęły mi skakać przed oczyma, kładłem się na siano i z rękami pod głową, rozmyślałem o tym świecie i życiu, które się prze-wala, jak próżniak na swem łożu.

Potrzeba była mistrzynią Dalibora ¹⁾ w grze na skrzypcach, mnie zaś te wolne chwile wieczorne nauczyły ludzi sądzić; naturalnie, sądziłem ich i krytykowałem tylko podług siebie i dla siebie. W ten sposób byłbym chciał całe życie spędzić, ojca to jednak trapiło i codziennie powtarzał, że muzykaniem wyłącznie być nie mogę, do rzemiosła się nie nadaję, więc muszę o innym zajęciu pomyśleć.

Na moje nieszczęście, przy końcu karnawału przyjechał do domu uczeń, będący w Iczynie nie w klasie gramatyki, i zaczął mnie namawiać, żebym wstąpił do normalnej, ponieważ są tam jeszcze starsi odemnie.

Zaręczał, iż stanę się wreszcie owym sławnym preceptorem.

Wymawiałem się, czem tylko mogłem. Dowodziłem, że mi ręka przy rzemiośle stwardniała, że nie umiem już porządnie pisać, a głowę mam zupełnie pustą. Ojciec się uśmiechał i radził choć spróbować. Ta moja głowa wprawdzie nie była znów tak pustą, zawsze bowiem dużo i dobrze czytywałem, zarówno z dziedziny historii, astronomii, matematyki, jak i powieści, nowele i poezye, ale do nauczycielstwa nic mnie nie pociągało.

W ostatni wtorek karnawałowy tak do mnie ojciec przemówił:

— Straciłem już na ciebie sporo grosza, a nie pożałuję i nowych wydatków na dalszą twą naukę. Jutro idź do Iczyna, dowiedz się, czy cię przyjmą na

¹⁾ Dalibor z Kozojed, za samowolny najazd w XII wieku zamku płoskowickiego, skazany został na więzienie w wieży zamkowej w Pradze. W celi więziennej znalazł skrzypce i zaczął z nudów i głodu grać na nich i wyszedł na znakomitego artystę. Ztąd powstało przysłowie: „Nawet Dalibora głód muzyki nauczył.“

kurs normalnej. Że się będziesz uczył, jestem pewnym.

Tego dnia do dziesiątej tylko grałem w kapeli, potem wracałem śpiesznie do domu.

Noc pyła piękna, księżycowa, jasna niby dzień biały; szron, drzewa pokrywający, iskrzył i mienił się przepysznie, dolina błyszczała i połyskiwała się, jakby tafla srebrna. Lasy stały ciche, bez ruchu, rzekłbyś, zakłète wyższą siłą. Gdym patrzył na upłaz przeciwległy, wydawało mi się, że na puszystych od śniegu, iskrzących od szronu gałęziach drzew kołyszą się ruszałki w kryształowych szatach. Panowała tam niczem niezamacona cisza; tylko ziemia błyszczała, gwiazdy migotały, a staruszek księżyc uciekał z wesołym uśmiechem...

— Góry moje... żegnajcie mi!... idę na belferkę!—krzyknąłem i wbiegłem szybko do chaty.

V.

Po silnym wietrze w nocy, przyszła odwilż.

Pomocnik, przyszedłszy rano do kuchni na śniadanie, z radością zauważył:

— Dziś będziemy mieli ciepło, słońeczko mocno przygrzewa, śnieg taje, zbliża się wiosna.

— Widoczne, że nie znacie naszych gór—dodała kantorowa—toć będzie niejedna jeszcze zawierucha.

— Czy dobrze się wyspałeś? — przy śniadaniu zapytał nauczyciel.

— Dziękuję, również dobrze, jak wczoraj — nie przyznał się jednak, że długo nie mógł zasnąć.

— I znów ci się nic nie przyśniło?

— Coś mi się majaczyło, ale rano o wszystkim zapomniałem.

— Dziś, miły bracie, zagraj „Wspomnij o królowo.” Wybieram się jutro rano do Iczyna, do naszego Wacława, więc chciałbym ukończyć zaległą robotę—oświadczył nauczyciel, zwracając się do pomocnika, kończącego śniadanie.

Czermak chętnie się zgodził i podążył do kościoła.

Ze strzech obficie kapało, śnieg był mokry, a z dolin wiał wiatr wilgotny.

Po firmamencie przesuwwały się nisko kłęby szarej, ciemnej mgły, a wyżej jaśniał piękny błękit.

Z rosochatej, starej lipy, rosnącej przy bramie cmentarnej, opadały duże płatki mokrego śniegu.

Pomocnik wszedł wolno na cmentarz i skierował się w stronę chóru. Posłyszawszy kroki, obejrzał się i zobaczył małego śpiewaka Szkmozyła, który, owinięty w swój szeroki, o kilku pelerynach płaszcz granatowy, zdążył szybko do bocznych drzwi kościoła.

W ławie śpiewaków siedział tylko Petruszka, a jego śpiew ochrypliły rozchodził się po całym kościele.

Pomocnik skłonił mu się na powitanie, śpiewak, nie przerywając swej pieśni, kiwnął też głową.

Na dole w kościele było wszystko tak samo, jako wczoraj; w ławkach siedziało paru starców i starsuszek, przy dzwonku zgarbiony, siwy kontroler. Kościelny przyniósł napełnione ampułki, postawił je na wielkim ołtarzu, a wracając, spojrzął na chór i pokłonił się z uśmiechem.

Preceptor dobrze pamiętał o ławeczce przy dzwonku, ale w niej jeszcze nie było tej, o której pan nauczyciel mówił, że ma głos do srebrnej piszczałki podobny.

Przypomniał sobie wczorajszą jej śpiewkę, zetknięcie się z kościelnym i przyznał rację określeniu swego pryncypała.

Petruszka, skończywszy śpiewać, zbliżył się do preceptora.

— Dzień dobry panu—witał, podając młodzieńcowi swą silną, wielką prawicę. — Dziś sam tu jestem—dodał z sarkazmem.

— Widziałem drugiego śpiewaka idącego na dół kościoła — odrzekł preceptor, a przechyliwszy się z chóru—ot tam siedzi—dokończył.

— Och, jest rozgniewany, że śpiewaliśmy wczoraj „Potężny Stwórco” — zauważył Petruszka dobrodusznie.

— Przykro mi, iż pierwszego dnia zaraz się na mnie obraził.

— Nie zwracaj pan na to uwagi. Gniewa się, pogniewa — i przestanie. A, a! Albinka już przyszła, to i proboszcz wnet się zjawi.

Pomocnik, mimo, że twarz miał ku Petruszce zwróconą, zauważył wejście Albiny. Nie uszło też jego bacności i to, że przed zajęciem miejsca, nawet przed przeżegnaniem się, podobnie jak wczoraj, najpierw na chór spojrziała. Czuł, iż pod jej wzrokiem cały się czerwieni, a zmieszany, targał tylko puszek swych wąsów.

— Zaraz usłyszemy: „zaczynaj.” Proboszcz, gdy już się ubierze, włoży biret na głowę, a weźmie kielich do ręki, krzyknie na ministranta tak głośno owo „zaczynaj,” że aż tu słyszać. Dziś więc: „Wspomnij o królowo?”—pytał się Petruszka, wpatrując się badawczo w pomocnika.

Ten skinął potwierdzająco.

Starzec usadowił się w ławce, a młodzieniec usiadł przy organach. Siadając, spojrzął na kościół i spotkał się ze wzrokiem dziewczyny, również na chór spoglądającej.

Dolejsz kręcił się koło ołtarza: to świece zapalał, to kurz zdmuchiwał. Pomocnik usłyszał: „zaczynaj” i rozległ się dzwonek.

W śpiewie słyszać było mało głosów, wydawał się tylko zachrypły głos śpiewaka i czyste, młode tony dziewczęce. Pomocnik milczał zwykle przez pół strofki, śpiewając z głębokiem uczuciem końcowe, powtarzające się wiersze.

Petruszka po „sanctus” zbliżył się do preceptora i zaczął mówić:—Dziś nam doskonale idzie, najpierw jakby solo, a chór potem. Albinka ma głos jak cymbałki. Jestem pewny, że Szkmoszyl się irytuje, gnębi go to, ale uparty, nie prędko ustąpi.

Po skończonej mszy ś-tej pomocnik zamknął

kancyonał, złożył nuty i wyszedł z ławki. Petruszka śpiewał „Wszyscy święci i słudzy pańscy”, proboszcz wszedł do zakrystyi, a zgarbiony, żegnający się bezustannie kontroler, pospiesznie wychodził.

Albinka siedziała jeszcze w ławce, ale przekonawszy się, że chór już pusty, wstała szybko, umazała rękę w kropielnicy, schyliła się przed ołtarzem i wyszła.

Gdy pomocnik stał na cmentarzu, ukazał się Szkmoszyl.

— Dzień dobry—pозdrowił młodzieniec.—A czemu nas pan opuścił?

Zdumiony Szkmoszyl mrugnął mu zaledwie powiekami, poruszył czapkę i odpowiedział:

— Nie jestem dziś przy głosie.

— Brakowało nam pana—dodał Czermak z uśmiechem.

Śpiewak błogo się uśmiechnął.

— Zauważyłem, iż śpiew dzisiejszy był do niczego—ciągnął sylabę po sylabie. Czyż sam Petruszka może należycie wyciągnąć? Nieboszczyk nasz proboszcz, ilekroć zamilknałem na chórze, obracał się niespokojnie, a przy spotkaniu zawsze mnie pytał: Cemu to nie chwaliłeś dziś Boga, mój Szkmoszylu?

Śpiewam ja, panie, lat czterdzieści, to przecież kawał czasu, ale nie każdy zna się na śpiewie—i uchyliwszy nieco czapkę, odszedł wolno, poważnym krokiem.

Pomocnik postępował za nim, doszedłszy jednak do bramy cmentarnej, cofnął się w lewo i oparłszy o stary pień, przyglądał się wiosce. Ludzie z kościoła wychodzili, śpiew Petruszki zamilkł i on sam wkrótce opuścił świątynię. Poprzez chaty, rozrzucone po wzgórzu, patrzył pomocnik na dolinę, łąki i lasy, z głębin których wysuwały się kłęby mgły, pełzały pod gałęziami i rozpraszały się po łące.

W kościele było przez chwilę zupełnie cicho, po-

tem rozległo się wolne, ciężkie stąpanie. Preceptor wrócił do kościoła, dostawszy się do niego bocznemi drzwiami.

Kościelny okurzał właśnie mniejszy ołtarz, a zobaczywszy młodzieńca, uśmiechnął się przyjaźnie, mówiąc:

— Witam pana preceptora, witam!

Czermak, idąc na palcach, zbliżył się do niego i szepnął:

— Przyszedłem obejrzyć kościółek.

Staruszkowi zabłyśły czarne, maleńkie oczy, a po serdecznym uśmiechu długo mu broda drgała nerwowo.

— Robimy z proboszczem, co tylko można, by na pochwałę jeno zasłużyć, ale trzeba zwrócić na to uwagę, że parafia biedna, patronat zaś, a właściwie stara hrabina Waldfryndka, nie chce nas znać i wszystko daje na wikaryat do Bruskowa. Idą tam wciąż nowe ornaty, świece, poduszki, a my to tylko mamy, co proboszcz z oszczędności zakupi, a Pepiczka wyrychtuje—mówił cicho, lecz z przejęciem.

— Piękny wasz kościółek, nie widać w nim najmniejszego pyłu. Czy dawno się nim zajmujecie?—pytał pomocnik.

— Sam lat dziewięć, przedtem jednak pomagałem staremu kościelnemu. Proboszcz nie chciał mu odbierać tej pracy, pozwolił dosługiwać—objaśnił Dolesz.

— Ksiądz proboszcz musi was lubić — dodał młodzieniec.

— Naturalnie lubi, inaczej nie byłby mnie sprowadzał z dawnej mej siedziby. Tam on mnie właśnie polubił, a ja też chętnie do niego wróciłem.—Staruszek przy tych słowach wyprostował się ile tylko mógł.

— To wy z dolin pochodzicie?—pytał Czermak.

— Z Kościelca. niedaleko Bolesławia, jak mó-

wią Młodej. Ztamąd ja rodem;—dziesięć lat przesłużyłem w tamtejszej świątyni, jako młodszy kościelny.

— Proboszcz był tam kapelanem?

— Trzy lata przy księdzu Czermaku w najgorszych czasach. Co on tam przeszedł, to i trudno powtarzać panu preceptorowi, a wszystko dzięki swemu dobremu sercu. Za młodu nie był takim ksiądz Czermak, ale na starość stawał się coraz gorszym — nachyliwszy się ku pomocnikowi, szeptał: Gospodyni — rozumie pan—doprowadziła go do tego swemi ciągłymi kłótniami i sknerstwem.

— Czy proboszcz Czermak długo tam mieszkał?— patrząc na ołtarz, pytał preceptor, jakby mimochodem.

— Długo, pewnie lat dwadzieścia; nasz proboszcz przyszedł tam w ostatnich latach jego służby. Przez pierwsze lata na plebanii był istny raj. Po nieboszczyku proboszczu została gospodyni dobra, jak anioł, później wziął jej ksiądz do pomocy jakąś znajomą Lidunę, tak, Liduną ¹⁾ ją nazywali—dziewczynę piękną, niby kwiatek, wesołą i zręczną. Podobna była do naszej Albinki, ale nieco starsza.

Pomocnik wpatrzony był w ołtarz.

— Ale ja opowiadam i opowiadam, a pan nie nie słucha—zaśmiał się kościelny.

— Słucham, słucham, tylko nie przerywajcie — wyjąknął zarumieniony pomocnik.

— Przybyłem tam właśnie w te lepsze czasy, później nie byłbym się nawet starał o służbę kościelnego, choć to praca lżejsza, niż przy sierpie lub młocie. Ksiądz proboszcz Czermak nie był złym człowiekiem: lubił wyjeżdżać w sąsiedztwo, chętnie się zabawił i pośmiał. Ze śmiercią dawnej gospodyni wszystko się zmieniło. Przyszła nowa gospodyni, którą

¹⁾ Liduna—Ludmiła.

proboszczowi polecił sam naczelnik okręgowy—była mu pono krewną. Od pierwszego wejrzenia nie spodobała się nikomu: niskiego wzrostu, chuda, o twarzy bezbarwnej, ryżych włosach. Boże, Boże! ileż to zmian w domu w taki czas niedługi! Wkrótce gospodyni całkowicie objęła rządy; proboszcz dla świętego spokoju, milcząc, wszystko znosił. Nieraz mówiłem do Liduny: Nie wytrzymasz długo z tą sekutnicą; miła dziewczyna śmiechem mi tylko odpowiadała. Rychło jednak widziałem ją zapłakaną i raz, bez żadnej przyczyny, Lidunę oddalono—przeczem machnął kościelny swą ręką kościstą i kiwał siwą głową, jakby chciał tem wyrazić, że i mówić dalej nie warto.

Młodzieniec, odwróciwszy się, twarz ocierał: policzki mu płonęły, czoło miał zmarszczone, usta kurczowo zaciśnięte.

Kiedy kościelny zabrał się znów do uporządkowywania ołtarza, pomocnik zwrócił się do głównego ołtarza i przypatrywał się wielkiemu obrazowi. Patrzył długo, ale nie widział...

— Ten obraz, to również zasługa proboszcza naszego; kazał go w Pradze wymalować. Mawiał zawsze, iż nasz święty ksiązę zasługuje na lepsze wyobrażenie, składał więc grosz do grosza, parafianie coś też dołożyli i urzeczywistnił swoje pragnienie—objaśniał staruszek, wpatrując się w obraz z zachwytem.

Pomocnik teraz dopiero spostrzegł obraz świętego Wacława, siedzącego na białym koniu, z chorągwią z białą orlicą w lewej ręce, błogosławiącego prawicą. Nad postacią patrona unosiły się dwa anioły.

Za chwilę zwrócił się pomocnik do kościelnego.

— Ksiądz proboszcz przybył tutaj wprost z Kościelca?—zapytał.

Dolejsz kiwał głową powoli, a spuściwszy oczy ku ziemi, zaczął:

— Nim go tutaj naznaczono, był w dwóch miej-

scach administratorem. Nasza parafia najbiedniejsza jest z całego patronatu, nikt się o nią nie starał, lecz ksiądz proboszcz zupełnie jest zadowolony. Lepszego duchownego to i trudnoby znaleźć, nie każdy nawet potrafiłby żyć tutaj. Jednak wszyscy bardzo lubią proboszcza. Ja zawsze miałem u niego łaski, a gdy probostwo dostał, pisał, żebym przyjechał, jeśli się tylko gór nie obawiam. Nie miałem już nikogo: żona pochowana oddawna, dzieci nie było, a księdza proboszcza nie mogłem jakoś zapamiętać, więc zebrawszy się, przyjechałem.

Roześmiał się radośnie, a oczy, ożywione wspomnieniem, jasno mu się zaświeciły.

— Co też ludzie mówili o tych szybkich zmianach na plebanii w Kościelcu?—zręcznie wybadywał preceptor.

— Cóż mieli mówić? Kręcili głowami, sarkali. Często wspominali to biedne dziewczę, litując się nad niem. Napracowała się ona dosyć—a jak się z nią obchodzono! Ale ludziska do wszystkiego przywykną. Kiedy odchodził ztamtąd nasz proboszcz, było tam nieco zamieszania. Pisali nawet do konsystorza, nie to jednak nie pomogło, wiadomo bowiem, że wszelaka zwierzchność na świecie wzajem się wspiera i ze sobą trzyma. Ksiądz sam już prosił:

Dajcie ludzie spokój, przestańcie, jeszcze gorsze na mnie ściągniecie nieszczęście.

— I tak bez powodu został uwolniony?—cierpko wyrzekł pomocnik.

Kościelny spojrział na młodzieńca zukosa, otworzył wążkie, bezzębne usta, a broda znów mu się trzęsła.

— O tem, to możnaby całe kroniki napisać—roześmiał się.—Ksiądz proboszcz jest prosty, szczery, to się ludowi podoba, ale panom nie. Wielebny ojciec—rozumie pan—idzie np. wążką, krętą ścieżyną przez pole, zdążając do szkoły filialnej. Wtem spo-

strzeża rolnika, wiozącego wóz pełen nawozu. Chude małe woły nie mogły wyciągnąć go do góry. Bez namysłu zdejmując surdut, rzuca na ziemię i uchwyciwszy koło, wóz popycha, a twarz mu cała zapłonęła. Zdziwiony wieśniak przystanął i woła:

— Ojcie przewielebny, co robicie?

Ale proboszcz nie puścił koła, dopóki wóz nie ruszył i nie wyjechał na drogę. Następnie cały spocyny i poczerwieniały, wdział surdut i rzekł spokojnie:

— Tak powinniśmy zawsze robić, mój dziadku, jeden drugiemu pomagać musi.—A podczas jarmarku lub odpustu zwykle między dzieci wchodził, kupując im pierniki i konie. Gromadziły się koło niego, niby gąsienią, i opowiadały mu, co tylko wiedziały. A wiadomo panu, miły panie preceptorze, że każda biedna kobieta wskoczyłaby w przepaść za tym, kto jest dobrym dla jej dziecka.—Mówiąc to, kościelny groził palcem, ścigał wargi, robiąc poważną minę.

Oparty o ławkę, zapatrzony w starca, słuchał pomocnik uważnie.

— Kiedy proboszcz przez wieś przechodził, zatrzymywał się przy każdej gromadce dzieci i rzucał im krajcary. A kiedy te bose, ubrudzone, w koszułach tylko, dzieciaki przewracały, popychały się i radośnie skakały, on śmiał się, również jako dziecię, i znów im ciskał krajcara. Teraz—pojmuje pan, że o tem wszystkiem dowiadrywano się na plebanii, dokąd też dochodziły ludzkie pochwały i błogosławieństwa. A że proboszcz i starszy kapelan drżeli na widok krajcara, więc można się domyśleć, co o tem sądzili. Innym znów razem biedna wyrobница zgubiła dwie dwudziestówki ¹⁾. Zastanówmy się, co to dla niej

¹⁾ Dwudziestówka — dwadzieścia krajcarów, stanowiła wówczas $\frac{1}{3}$ guldena, zawierającego w sobie 60 kr.; dziś gulden zawiera 100 krajcarów.

znaczyło. Niosła te pieniądze od handlarza przędzą i marnie je straciła. Biedaczka na kilka pasem przędzy zużyła lnu za trzy krajcary, a gdzież za robotę wynagrodzenie? Proboszcz Stehlik mawiał:

— Śliny tego biednego ludu nawet złotem nie przeważysz...

Owa kobieta przybiegła do proboszcza, a cała zdyszana i zrozpaczona zaledwie parę słów mogła wypowiedzieć. Dawła mu krajcara z prośbą, aby ogłosił na ambonie o jej zgubie. Ksiądz proboszcz patrzył badawczo na kobietę, a on umie patrzeć (kościelny, chcąc kapłana naśladować, oczy szeroko otworzył i nadymał swe zmarszczone policzki), zmierzył ją, stojącą przed nim skurczoną, drżącą, zbiedzoną—od stóp do głów i rzekł dobrotliwie:

— Kto znalazł wasze pieniądze, to ich już pewnie i nie odda, stracie więc napróżno krajcara na ogłaszanie—ot macie czterdzieści krajcarów, a drugim razem bądźcie uważniejszą.

Z początku nie mogła tego zrozumieć biedaczka, ale dostawszy pieniądze, zaczęła całować ręce proboszcza, oblewając je łzami. Kapłan wyrwał jej ręce i wznosił w górę. Widzi pan, on nie nie robi dla pochwały światowej, wszelkie podziękowania to dla niego choroba, od której spiesznie ucieka. Jeśli mnie kiedy zabrał z sobą do gospody, kupował mi wino, sobie zaś piwo; siadał przy jednym stole i rozmawiał ze mną, jakby z równym mu zupełnie. A jaki to świetny kaznodzieja. Kiedy, bywało, w dzień Zaduszny wspomni o tych duszyczkach cierpiących, to cały kościół trzęsie się od płaczu, kiedy znów z kazalnicy zwróci się do głównego ołtarza i zacznie wzywać pomocy Boga—nikt się nawet nie poruszy, cisza grobowa zalega świątynię.

Dolejsz stał, jakby na ambonie, głowę trzymał wysoko, ręce złożył na piersi, tylko plecy zgarbione nie chciały mu się wyprostować.

— Jak kapelan mówi kazania, wiedziano dobrze na plebanii. Proboszcz Czermak w późniejszych czasach rzadko już wchodził na kazalnicę, a ilekroć miał kazanie, zawsze musiał wspomnieć o synu marnotrawnym, jego powrocie do domu i owem tuczonym cielęciu, zabitem na jego ugoszczenie. Tuczony cielę powtarzał kilka razy ze specjalnym naciskiem, ale ja, niestety, nie potrafię tak wymówić, jak to czynił ksiądz proboszcz — szepcząc, roześmiał się kościelny, przy czem jego małe oczki zaiskrzyły się mocno, a nos mu się zaczerwienił.

— Starszy kapelan również nie był dobrym mówcą; w domu starannie się do kazania przygotowywał, ale w kościele marnie to wyszło, bo nie wypowiedział go należycie, to też świątynia świeciła pustkami. Zrozumiał pan dokładnie, dlaczego kapelana Stehlika nie lubiano na plebanii, a zarzucano go pracą, zwłaszcza taką, z której nie miał korzyści żadnej, jak jazdę do chorych. Ale tam właśnie nasz kapłan najwięcej robił. Umiał pocieszyć chorego, dodać otuchy otaczającym krewnym, a gdzie trzeba było, udzielał pomocy; dawał biedakom na słomę, na chleb, na mięso, na aptekę i doktora. Nikt nie wie, ile on grosza rozdał — dość, że sam nigdy nie miał, chodził w wytartej, zrudziałej sutannie, w butach polatanych.

Słońce, przedarłszy się przez chmury, zajaśniało całym swym blaskiem. Przez okna świątyni wpadły świetlane promienie, oświeciły jej strop, a w smudze unoszącego się pyłu odbiły się tęczowemi barwami. Główny ołtarz tonął w potokach światła, jego złoczone ozdoby mieniły się i błyszczały jaskrawo, blade twarze aniołów pokryły się jakby rumieńcem, a św. Wacław z wielkiego obrazu spoglądał na świątynię spokojnie i mile.

— Najgorzej to było po tym wypadku — rozpoczął kościelny — kiedy to mąż tej biednej Holaski za-

bił się w skałach, pozostawiając ją z trojgiem dzieci. Kochała ona swego męża, chciała tedy wyprawić mu trochę świetniejszy pogrzeb. Skoro przyszła do proboszcza Czermaka, zażądał od niej dwa guldeny, a prócz tego miała opłacić księdza kapelana. Zkądże mogła zebrać tyle pieniędzy! Płakała, prosiła, proboszcz stanowczo odpowiedział, że nie nie opuści. Wybiegła z plebanii, a cała zapłakana, zamartwiona, przechodząc przez cmentarz kościelny, spotkała naszego kapelana.

Pomocnik poruszył się i nadśluchiwał, bo mu się zdało, że drzwi od zakrystyi zaskrzypiały. Również zamilkł kościelny, a po chwilowej przerwie, wśród zupełnej ciszy, znów ciągnął opowieść:

— Kapelan zapytał, czemu tak płacze i wyrzeka; dowiedziawszy się o powodzie jej strapień, dał owe dwa guldeny, prosząc jej tylko, żeby nie mówiła na plebanii, od kogo je dostała. Pełna radości pobiegła do proboszcza, nie zwracając prawie uwagi na słowa kapelana. Ksiądz Czermak zdziwiony szybkim jej powrotem z pieniędzmi, zaczął ją wybadywać od kogo je pożyczyla. Biedna kobiecina, nie widząc w tem nic złego, wszystko z prostotą opowiedziała.

Tego dnia wieczorem, kiedy kapelan przyszedł do plebanii na wieczernę, zerwała się burza. Obadwaj kapłani zaczęli mu wymawiać, że wciąż im tylko szkodzi, ujemnie wpływa na ich powagę, chce się lepszym od nich okazać, i od tej pory słowa do niego nie przemówili.

Pomocnik, słuchając starca, wpatrywał się stale w drzwi zakrystyi. Nagle przybliżył się do kościelnego i szepnął:

— Jest tu Albinka z plebanii i podsłuchuje.

W tejże chwili przybiegło dziewczę całe zarumienione.

— Otóż jesteście! ciocia niespokojna już była i wysłała mnie po was—trzepotała wesoło przytłumionym głosem.

Powiedziawszy to, przelotnie spojrzała na pomocnika, ale zaraz zwróciła wzrok na Dolejsza i poprawiła sobie suknię, krzyżyk i włosy.

— Zaręczam, zaręczam, jam nie nie winien, je-no pan preceptor; przyszedł kościółek nas obejrzyć i zagadaliśmy się długo.

Młodzieniec stał przy ławce, jak wryty. Jego roztargnione oczy błędziły po ścianach świątyni, obejmowały postać Albiny, jasne włosy, które błyszcząły w promieniach słońca, a twarz płonęła szkarłatem, patrzyły na kościelnego, opuszczały się ku ziemi, i dojrzały na niej trzewiczek Albiny na czerwonej pończosze.

— Chodźcie więc, chodźcie — szepnęła Albina, a nachylając się w stronę młodzieńca, dodała półgłosem:—Żegnam—i odeszła.

— To prawdziwa srocza—mruczał kościelny—muszę jednak wracać do domu. Dziwno im było, że się gdzieś zabałamucił.

— Nie gniewajcie się tylko na mnie za przetrzymywanie was tak długo, już i ja podążę do domu — mówił młodzieniec. — Serdecznie wam dziękuję za objaśnienie. Do widzenia!

Przeżegnawszy się, odchodził młodzieniec na palcach.

Kościelny patrzył za nim z uśmiechem dotąd, dopóki nie znikł mu z oczu.

Uporządkowawszy ołtarze na niedzielę, pośpieszył na plebanję.

— Zagadaliśmy się, panno Pepiczko, z panem preceptorem. Przyszedł się przyjrzyć naszemu kościołowi, o wszystko wypytywał, więc musiałem go objaśnić i tym sposobem poruszyliśmy dawne czasy. Muszę przyznać, że on mi się zdaje pocziwą być duszą. Kiedym mu opowiadał o tem, co nasz proboszcz wycierpiał u Czermaka, rozplakał się—prawił, wchodząc do kuchni.

Zgarbiony wyszedł z kuchni.

W szkole również się dziwiono i niepokojono długą nieobecnością pomocnika. Kiedy zaś powiedział, z kim się zatrzymał, nauczyciel wtrącił:

— No, Dolejsz jest w swoim żywiole, gdy może opowiadać.

— Panie nauczycielu, mam do pana prośbę. Chciałbym napisać do babci, czy pan zechce zabrać mój list do Iczyna na pocztę, wcześniej go ztamtąd otrzyma.

— Pocóż tyle wstępów, z przyjemnością—odparł nauczyciel.

— Niech pan od nas pozdrowi babunię—dodała kantorowa.

— Dziękuję bardzo—odpowiedział, wychodząc do swego pokoju.

— Pan pomocnik także Czermak—zauważyła Pepiczka.

— O, laboga! A czy nie jest czasem jego krewnym?—wołał przełęczony Dolejsz, uporeczywie wpatrując się w Pepiczkę.

Albina siedziała na ławce pod oknem i robiła pończochę, a usłyszawszy ten okrzyk, głośno się zaśmiała, mówiąc:

— A to wam się udało, toście się złapali.

— Patrzcie, już ta sroczka mnie drażni. Czermaków jest dość na świecie. Ta sroczka to tylko umie dokuczać, powinnaś była dokuczyć preceptorowi, nie zaś mnie—mruczał rozweselony.

— Jakże się podobał kościółek naszemu pomocnikowi? — zapytała Pepiczka, kręcąc się około kolumny.

— Podobał się, bardzo się podobał, ale powtarzam to, com wczoraj jeszcze powiedział, że ten człowiek nie będzie tu długo. Czas mi już do krów zajrzeć.

Wyjawszy papier listowy, usiadł przy stole i zabrał się do pisania:

„Droga moja babuniu!

Dopiero trzy dni upłynęły od naszego rozstania, a mnie się to wydaje wiecznością! Wciąż myślę o tobie, babciu, i tęskno mi bardzo. Stryj Czeszek opowiedział ci pewno, że jestem u stóp gór i nie widzę nic, prócz nieba. Zapewne mówił też o panu nauczycielu i jego żonie, o tem, jak mnie ci poczciwi ludzie przywitani. Rzeczywiście, są oni bardzo zacni! Pan nauczyciel nie otrzymał takiego, jak ja, wykształcenia, czuję jednak, że przy nim wiele jeszcze skorzystam. Pani opiekuję się mną, niby matka. Da Bóg, latem przyjedzie do mnie Babunia, zobaczy mój pokoik i przekona się, że nie śpiam w zimnej stancyi.

Muszę donieść o jednym dziwnym zbiegu okoliczności. Otóż, tutejszy proboszcz Stehlik był kapelanem naszego stryja w Kościelcu, a miejscowy kościelny również tam służył. Proboszcz nic mi jeszcze o tem nie wspominał, ale kościelny, pamiętając dobrze dawne czasy, opowiadał mi dziś o tej drugiej gospodyni—sknerze, która wniosła niezgodę na plebanię. Pamięta starą gospodynię i mówił o zmianach tam zaszłych po jej śmierci, o tem, jak młoda dziewczyna krewna zmuszona była uciekać. Przypomina sobie, że ją Liduną nazywali, że ją wypędzili tylko przez skąpstwo. Mile ją wspomina, jako dobrą, wesołą, zręczną, lubianą i żalowaną potem ogólnie. Złego ani słowa nie powiedział. Tutejszy ksiądz proboszcz, który się tam dostał w kilka lat później, wiele też podobno przecierpiał. Ma to być dobry i zacny człowiek, ze mną też przyjaźnie rozmawiał, nie będę go jednak o nic pytał, pamiętając słowa naszego nieboszczyka dziadka. Będę pracował w szkole, pomagał w kościele i myśleć o tobie, babuniu, o dziadku i o tej, której podobizna jest mi najdroższą pa-

miątką. Będę oszczędzał, abym też przecież mógł kiedyś zobaczyć to miejsce, gdzie jej drogie szczątki spoczywają!

Ludzie tutejsi wydają się dobrymi i zwracają się do mnie życzliwie, lecz ja się ludzi lękam i nie wierzę im wcale. Tylko Ty, Babuniu, nie tęsknij i nie smuć się! Bóg da, że później lepsze mieć będę utrzymanie, to przy mnie zamieszkaasz, boć przecie nie mamy już nikogo na świecie!

Pan kantor Czyżek ma w Iczynie swego syna w szkołach, jutro idzie do niego wczesnym rankiem, prosiłem więc go o zabranie tego listu do Ciebie i wrzucenie na pocztę, tym sposobem wcześniej Cię dojdzie.

Tysiąc pozdrowień zasyłam Ci, babuniu, i stokrotnie Cię całuję.

Do grobowej deski zostanę zawsze Twym wiernym wnukiem

Karolem.”

Ukończywszy pisanie, jeszcze przez chwilę myślał o przeszłości, potem list złożył, włożył go do koperty i zabrał się do czytania trzeciego rozdziału pamiętnika pryncypała.

ROZDZIAŁ III.

O położeniu preceptora.

W środę popielcową, o godzinie trzeciej zrana, wychodził z gór Olbrzymich dwudziestodwuletni młodzieniec, przygotowywujący się na pomocnika nauczyciela.

Noc była piękna, jasna, jak dzień, mróz był siarczysty. Ubrany w ciepłe palto, w spodniach, wsuniętych w cholewy od butów, w czapce, nasuniętej dobrze na uszy i z mocnym kijem w ręce, biegł, jakby z pola walki. Pokryte śniegiem równiny muskało niebieskawe światło księżyca; koleje po drogach błyszczały, przydrożne drzewa rzucały od siebie długie, niewyraźne cienie. Nagie, niezastłonięte chmurami góry stały wielkie, białe, groźne swym ogromem. W dolinach po wsiach było jeszcze cicho, w oknach ciemno; z chwilą mojego zbliżania się psy zaczęły ujadać, czasami zaryczała też krowa.

Szedłem bardzo szybko, nie oglądając się. Góry zaczęły okrywać się mglistym całunem, z początku bladawym, przezroczystym, rzekłbyś, że to gęstsze światło księżyca, później coraz gęstszym, szarym, aż w końcu nie można było odróżnić oddzielnych wierzchołków, zamiast których widać było ogromną, ciemną

ścianę. Szybko przechodziłem lasami, pełnymi cieniów tajemniczych; wiele razy zatrzymywałem się, zdało mi się bowiem, że widzę zaczarowane postacie: to zgarbione, to znów wyciągnięte, kiwające na mnie, lub kłaniające się. Byłem przyzwyczajony do wszystkiego, w różnych warunkach włóczyłem się po świecie, lecz tu, między temi lasami, nawet i śpiewać odcierało mi się.

Gałęzie uginały się pod ciężkiem śniegowem przykryciem, które tworzyło przeróżne wycięcia, owale, ostre formy; pnie drzew z jednej strony były białe, z drugiej zupełnie ciemne; odgłos mych kroków odbijał się dalekiem echem, między gałęziami coś trzeszczało, gwizdało, szumiało; gdzieś tam śnieg się osypywał z gałęzi, gdy zaś księżyc zachodził za chmurę, lub krył się za drzewami, dziwaczne jakieś cienie skakały mi przez drogę.

Od nas do Iczyna liczę dziesięć godzin drogi, lecz teraz nie było jeszcze dziesiątej, gdym był już nad Żelaznicą pod Taborem i patrzyłem na Iczyn. Wtedy już słońce świeciło, wszystko jaśniało i błyszczało; czarna iczyńska brama miejska wyraźnie uwy puklała się, jakby na mnie zdała wołała: „Chodź, chodź tu, młodzieniaszku, a ucz się na preceptora.”

O godzinie dziesiątej spytałem starą babę, sprzedającą bułki u miejskiej bramy, gdzie mieszka pan dyrektor tego zakładu naukowego, gdzie uczą młodzież.

Staruszka tak dobrze rozpowiedziała mi wszystko, że bez trudności odszukałem dwupiętrowy dom rezydencyjny, „pana derektora.”

W bramie uporządkowałem nieco swoją toaletę, otrzepałem sobie paltó, poprawiłem chustkę na szyi, przyglądałem nieco włosy i włożyłem porządnie czapkę; następnie przeżegnałem się i oddawszy się pod opiekę swego Anioła-stróża, ruszyłem po schodach na górę.

Na pierwszym pięttrze znów się zatrzymałem i obmyśliłem sposób wstępnego mego przemówienia. Dalej szedłem już tylko na palcach, jak żydzi, gdy się do arki zbliżali.

Zaledwie przestąpiłem ostatni schód, aż naraz przedemną stanęła kobieta na cztery stopy wysoka i o takiejże samej mniej więcej objętości; ubrana była dosyć przyzwoicie. Uważnie obejrzawszy mnie, zapytała:

— Co nam kawaler niesie?

Prędko rzuciłem okiem na jej twarz, obficie poraną zmarszczkami i, jako człowiek rzeczy znajomy, skombinowałem, że ta pani zażywa tabakę.

No, Wacuniu, wszak to jest pani dyrektorowa! błysło mi w głowie i natychmiast przypomniałem sobie rady pieczołowitego o mnie ojca, że dobrze robi ten, kto szuka protekcyi u kobiet. Szybko zdjąłem czapkę z głowy, zamaszycie ukloniłem się i pocałowawszy pomarszczoną rękę, że aż mlasnęło w sieni, rzekłem:

— Łaskawa pani, uprzejmię proszę, chciałbym się widzieć z panem dyrektorem.

— To mój mąż! — odpowiedziała pani i odrazu mogłem osądzić, że „łaskawa” przypadła jej do gustu; zmierzyła mnie od stóp do głów i kiwając głową, spytała:—Tak, niby czego kawaler chce?

Zacząłem więc wykładać o swem trudnem położeniu, że chciałbym dostać się na kursy, lecz nie wiem, jak to i co to, wogóle, że nie mam pojęcia, jak się wziąć do tego. W czasie mego opowiadania pani zażyła tabaki z brzozowej tabakierki, i odwróciwszy się, kiwnęła na mnie wieczkiem od tabakierki; ja podążyłem za nią do kuchni.

— Proszę poczekać tu — powiedziała z uśmiechem—zapytam się pana—i poszła do pokoju.

Uśmiechnąłem się, parę razy pod rząd się ukloniłem i zostałem się sam jeden. Zabawiła w pokoju

mniej więcej dziesięć minut: co tam mówili, tego nie wiem, lecz miałem nadzieję, że wszystko dobrze pójdzie, nawet zacząłem się śmiać do siebie.

Wreszcie drzwi się otworzyły, w których ukazał się pan dyrektor. Był to wysoki, szczupły, z iskrzącymi się oczyma brunet; ubrany był w czarny frak, białą kamizelkę, aksamitne pantaliony i trzewiki ze sprzączkami.

— Tak, proszę dalej, młodzieńcze—rzekł, wskazując mi zydęł w pokoju.

Zacząłem się kłaniać i nie chciałem usiąść. Pani dyrektorowa stała przy wielkiej komodzie i uśmiechała się.

Pan dyrektor wiedział już, czego chcę, lecz jeszcze się to o to, to o owo wypytywał, ja zaś na wszystkie pytania odpowiadałem.

Później podał mi arkusz papieru i powiedział:

— Niechaj on tu napisze, co powiem!—i podyktował mi następujące zdanie:—Gdy wybiła siódma godzina, tyle śniegu przybyło, że wszystko białe było!

Kiedy ukończyłem pisać, pan dyrektor wyrzekł z uśmiechem:

— W poniedziałek niech przyjdzie do szkoły i przyniesie swe papiery; a teraz jeszcze niechaj mi powie swoje nazwisko.

— Wacław Czyżek—odparłem; pan dyrektor roześmiał się i dał mi znak do odejścia.

Długo się kłaniałem, panią dyrektorową pocałowałem parę razy w rękę i, nie posiadając się z radości, popędziłem na miasto.

Odszukawszy naszych studentów, zanocowałem u nich. Wyśmiał się ze mnie, że chce mi się jeszcze chodzić do szkoły; gdy zaś wieczorem opowiadałem im przeróżne przygody z mego życia, śmieli się chłopcy do rozpuku, wogóle mogłem wnosić ze wszystkiego, że chętnie mnie przyjmują.

Tamże znalazłem też dla siebie mieszkanie na

sześć miesięcy, za osiem guldenów miesięcznie z półdniowem utrzymaniem. Na drugi dzień rano jechałem z powrotem do domu. Wszystko się mi dobrze udało, byłem tylko mocno niezadowolony, że ten dyrektor wciąż do mnie mówił „on,” jakby do jakiegoś gąsiątka.

Dlaczego mi nie mówił „ty”, zasługiwałem nawet na „wy”, przecież miałem się już żenić, tylko ta nieszczęsna choroba szyki popsuła. W końcu pomyślałem sobie: pal go sześć! i cała ta pretensya wydała mi się śmieszną.

Kiedy w domu o wszystkim opowiedziałem, radowano się niezmiernie. Ma'ka przygotowywała koszule, ojciec zaś kupił mi na dwie pary spodni. Ciotka Nana, załamując ręce, zawodziła:

— Dziecko nasze drogie, jak ty żyć będziesz, dostając studencki garnuszek kawy, wielkości napastrka, głowę tracę!

Czasami jednak uśmiechała się pogodnie. Wprawdzie i ja też myślałem, że teraz dopiero zacznę oceniać i mile wspominać domowe kromki chleba, garnki mleka kwaśnego, że jednak pierwsze kroki powiodły mi się dobrze, nie rozpaczałem, a nawet nabrałem chęci do belferki.

Pobiegłem do pomocnika miejscowego, który pierwszy w naszych górach zajął się ojczystym językiem, i pożyczyłem od niego „Metodykę”, „Wzór doskonałego nauczyciela”, „Pisownię”, „Geografię” i parę innych książek, co razem wzięte, było dosyć ciężkie.

Następnie od wczesnego rana zacząłem to wszystko przepisywać aż do późnej nocy; ręce od pracy mi mdały, pomimo to pracowałem pilnie.

Do kuferka ułożyli moją bieliznę, ubranie, książki, w węzeł związali poduszkę i pierzynkę, wypchali słomą siennik, do torby dali dwa bochny chleba, garnuszek masła, twarogu i ser domowy; matka upiekła

parę placków, ojciec dodał do tego trochę suszonych śliwek i agrestu, a ciotka Nana przyniosła mi trzewiki, które kupiła za swe krwawo zapracowane pieniądze, i wciąż biadała:

— Co z tobą będzie, co to będzie, chłopcze, gdy karmić cię zaczną takimi naparstkami kawy!

W niedzielę o świcie wyruszyliśmy w drogę; ojciec ciągnął saneczki, na których stał malowany kuferek; na plecach niósł skórzany worek, czapkę miał naciśniętą na uszy, kieszenie zaś zimowego palot mocno były wypchane. Obok ojca szedłem ja, mając w każdej ręce spory niebieski węzeł, a na plecach zawinięte skrzypce; policzki miałem gładkie, jak panna, po bakach i wąsach nie zostało ani śladu. Ludzie wybiegali z chałup, serdecznie żegnali się ze mną, dorzucając na drogę:

— Niechaj ci Pan Bóg poszczęści w tym preceptorstwie!

W preparandzie ¹⁾ było nas dwudziestu sześciu, ja byłem najstarszy między nimi, musiałem też starannie golić wąsy, ażeby nie być pośmiewiskiem innych. Nauki niezbyt dobrze szły mi do głowy, mózg bardzo już odwykł od tego, ale kupowałem sobie świece i kułem po nocach, gdy zaś głowa była zapracowana, kładłem się spać, a wczesnym rankiem zaczynałem wszystko nanowo. Nauczyciele w preparandzie widzieli, że pracuję w pocie czoła, więc pomimo, że nie jeden wyprzedził mnie w naukach, lubili mnie. Zostałem starszym w klasie, miałem dozór w kościele, w mieście zbierałem przepiękne Aufgaby, Schönschreibungi i Aufritty, na wiosnę zaś miałem pieczę nad ogrodem, młodszy odemnie musieli nosić wodę i według moich wskazówek podlewać. Chętnie przebywałem w ogrodzie, gdzie tak pilnie pracowałem, aż nieraz pot strumieniami lał się ze mnie.

¹⁾ Seminaryum nauczycielskie.

Po naszej mszy chodziłem też na drugą z wystawieniem; wkrótce dostałem się do basów i trąby, i muzyką też zacząłem chwalić Pana Boga, staruszek kantor częstował mnie zawsze tabaką, muzykanci chwalili; w krótkim stosunkowo czasie zastąpiłem w Iczynie jako dobry muzykant.

Mój dawny pan z Nachoda, dowiedziawszy się od naszych, że mam zamiar zostać preceptorem, pisał, abym rzucił nauczycielstwo i wrócił się do niego, że będzie mi bardzo dobrze. Zostałem przez zapomnienie list na stole, inni chłopcy naturalnie przeczytali i w parę dni wiedzieli wszyscy, że umiem naprawiać instrumenty muzyczne. Dopieroż to zaczęła się praca w mojem rzemiośle; kto tylko miał rozbite, albo popsute skrzypce, zaraz przynosił do mnie; nawet i fortepian naprawiłem. Nauczyciel języka czeskiego, pan Urbanek, zawezwał mnie też do siebie i przekonawszy się, że biegły jestem w swem rzemiośle, namawiał mnie, abym preceptorstwo rzucił i wracał do Nachoda. Ale ja nie chciałem się wyrzec preceptorstwa, ponieważ bałem się Nachoda... dzięki fałszywej Marynce. Nikt, rozumie się, nie wiedział, co tam serce me straciło.

Na wiosnę chodziłem w pole z książkami i na głos się obkuwałem. Zwykle chadzałem piękną okolicą około stawu, w górę ku Czeszowce, ztamtąd przez pola do Szibeniak i przedmieściami do domu. Wtedy myślałem o górach, o naszych ciemnych lasach, gdzie obecnie wszystko wrzało życiem, śpiewało, szumięło...

Pierwszego maja miała wyruszyć do Lubisadu miejska gwardya na naukę strzelania do celu, lecz w przeddzień uroczystości zachorował im trębacz. Sam kapelmistrz przyszedł do mnie z prośbą, abym się ustroił w mundur galowy trębacza i tym sposobem wyprowadził ich z kłopotu.

— Czemużby nie? — odparłem — chętnie przywdzieję mundur wojskowy, w który później, jako pre-

ceptor, nie będę się mógł już ubrać, co jednak powiedzą na to nasi panowie z preparandy?

Kapelmistrz uspokoił mnie zaręczeniem, że o tem pomyśli pan major.

W niedzielę po południu przyniesiono mi mundur; cała gromada kolegów zbiegła się na jego widok. Jeden z nich uchwycił pałasz i oczyścił go bardzo starannie — błyszczał on niby generalski. Ubrałem się w piękny mundur, ale że był dla mnie zbyt szeroki, musiałem go więc zacieśniać i przeszywać.

W poniedziałek, w drugi dzień Zielonych Świątek, zaraz po obiedzie wyszedłem z domu. Trąbka błyszczała jak złoto, wyczyszczony pałasz zręcznie odbijał od ziemi, guzy wyglądały jak srebrne... tylko ta przebrzydła, nieszczęsna czapka, pięć ćwierci łokcia wysoka, bezustannie przekrzywiała mi się na głowie, opadając to w jedną, to w drugą stronę.

Zaledwie kilka kroków przeszedłem przez ulicę, poprzczepiali się do mnie małe szkolni, znający mnie dobrze, zaczęli hałasować, popychać, krzyczeć, że aż się rozlegało.

Gdyby przynajmniej ich liczba nie zwiększała się, ale z każdym krokiem tłum się podwajał. Naraz jeden z nich wrzasnął: Preparand! ¹⁾ i cały ich zastęp zaczął do taktu wykrzykiwać: prepa-rand, prepa-rand, pre-pa-rand, pre-pa-rand. Cóż miałem na to poradzić? musiałem iść krokiem miarowym, gdyż pięććwierciowa czapka kiwała mi się na głowie z jednej strony na drugą, więc gdybym przyspieszył kroku, napewno by spadła, ku wielkiej ucieście żaków.

Ludzie się zatrzymywali, okna otwierały się i wiele nadobnych dziewoi, na które rzucałem niezbyt obojętne spojrzenia, teraz na cały głos się śmiały. Zaręczam, że gdyby prowadzili niedźwiedzia, krokody-

¹⁾ Przygotowywujący się na nauczyciela.

la, lwa, pawiana wreszcie, napewno nie zebrałoby się tylu gapiów, ilu obecnie ich miałem ja, górski preparand, w zielonym mundurze, w niebieskich, trochę przykrótkich, i jak basowa struna *j* naciągniętych, spodniach, z długim pałaszem przy boku, przeszkadzającym mi chodzić i w pięćciókwierciowej czapie na głowie. To też wstyd mi było, drżałem, czerwony, jak burak!...

Gdy zaś sławna gwardya wyruszyła z koszar i zagraliśmy, całe popólstwo tłoczyło się około mnie, o mnie tylko mówili, ze mnie tylko się śmieli, a zapomnieli nawet i o starym szpakowatym dowódcy, którego wysoki głos wciąż się przerywał tak, że przy końcu tylko zapiszczał, nie zwracali też uwagi i na dziesiętnika, szewca Marasa, któremu wąsy sterczały, jak ówieki, a oczy rzucały złowrogie spojrzenia, jakby lada chwila miał kogo zabić, nie patrzyli też na krawca Piwońkę, który nie mógł zdążyć za drugimi, chociaż ze wszystkich sił wyciągał swe małe nogi.

W Libosadie przynajmniej rozweseliłem się, patrząc, jak gwardziści strzelali, jeden lepiej od drugiego... zaledwie co piąty trafił do celu...

Wieczorem były tańce; zebrano tam dużo pieniędzy. Zaraz po północy muzykanci zbili się w gromadę, jakby na naradę przed bitwą. Po skończonych układach, klarynecista przyniósł mi osiem groszy. Popatrzyłem na nich, przeliczyłem pieniądze i wszystko aż się zagotowało we mnie z gniewu. Przystąpiłem do nich i rzekłem:

— Panowie widać myślicie, że macie do czynienia ze smarkaczem!

Położyłem im pieniądze na stole, włożyłem pięćciókwierciową czapkę na głowę i poszedłem do domu.

Na drugi dzień rano kapelmistrz przyniósł mi trzy guldeny i sześć krajcarów i śpiewał słodko, jak skrzypce, abym się nie gniewał i grał z nimi dalej.

— Aa, tak co innego! — mówię, zbierając pie-

niądze; ale już więcej razy nie grałem z iczyńską kapelą.

Od tego czasu chłopaki zawsze krzyczeli za mną:

— Panie preparand, prędko pan pójdzie znów z muzyką?

Dzień za dniem uciekał, wreszcie nadeszły wakacje i ja spieszyłem do domu z patentem preceptora. Patent miałem, ale posady nie było.

Musiałem zostać w domu; naprawiałem instrumenta, pomagałem robić w polu i chodziłem grywać z orkiestrą.

Dopiero po roku dowiedziałem się, że niedaleko w Pozdetynie pomocnik awansował na nauczyciela, a były jego zwierzchnik szuka nowego pomocnika. Zgłosiłem się do niego i szczęśliwie spisaliśmy kontrakt. Lecz tu mi było gorzej, niż w domu, gdyż za swą pracę dostawałem tylko całodzienne utrzymanie, a dochody z muzyki nie wystarczały mi nawet na ubranie, ojciec więc, chcąc nie chcąc, musiał mi pomagać.

Corocznie ojciec oporządzał mnie od stóp do głowy, dodając:

— No, Wacławie, to już po raz ostatni, w przyszłości myśl sam o sobie!

Chociaż i jemu samemu było bardzo trudno, pomimo to jednak okrywał mnie swoim kosztem, bo sam to widział, że nie jestem w stanie utrzymać się własną pracą. Ciężkie były wtedy czasy; pogrzebów nie było, a na muzyce więcej się przepiło i przepaliło, niż zarobiło; ja sam pić nie lubiłem, muzykanci zaś na to nie zwracali uwagi i wydatki szły do równego podziału. Żal mi było rodziców, nie chciałem, aby mi stale pomagali, więc zacząłem uczyć muzyki. Miałem wprowadzić liczny zastęp uczniów, ale ich rodzice nie mieli pieniędzy, a zresztą nie napraszali się o te lekcje. To wszystko prawdziwa była biedota. Po

roku nauki dopiero, kiedy już umiały zagrać coś porządniejszego, niektórzy zadowoleni rodzice okazywali mi wdzięczność, przynosząc po kilkanaście krajcarów. Od starca Pazderki dostałem sukno na kamizelkę, był on bowiem ogromnie uradowany, że syn mógł mu zagrać jego pieśń ulubioną: „Tam w Iezynie na wzgórzu.”

Przytem w całej okolicy zbierałem muzykantów, trębaczów zwykle brakowało, jam nie był wybredny, więc i tem trochę grosza zarobiłem. Dowiedziano się również o mojem rzemiośle, t. j. umiejętności naprawiania instrumentów, słowem, zapracowywałem już tyle, że się mogłem ubrać porządnie i utrzymać całkowie.

Wreszcie odbyłem konkurs, nikt jednak nie postarał się o poszukanie mi miejsca, którego pono nie było. Pan wikary i naczelnik okręgowy nie bardzo mnie lubili, gdyż nie umiałem języka powściągać i nieraz im ostro dociąłem. Najwięcej mnie to złościło, że co rok musiałem się poddawać egzaminowi na wikaryacie. I na cóż się zdały moje patenty, ślęczenia po nocach o chłodzie nad przeróżnemi metodykami? Nie nie pomogło, pomocnik obowiązany był zdawać egzaminy, mimo najlepszych postępów przy rewizyi szkolnej.

Mój pryncypał używał mnie jako swego sługę. Jakkolwiek powinien był asystować przy każdej lekcyi, jednak rzadko się zjawiał, ale zato był zawsze w polu i zajmował się pilnie handlem drzewa i mąki i dobrze mu się działo. Jedzenie miewałem bardzo marne, a kilka razy zaledwie dostałem po guldenie. Podczas zaś egzaminów w szkole wszystkie pochwały i cała zasługa spływała na pana kantora, a od jego parobka odwracano się pogardliwie. Ja musiałem milczeć, ponieważ nie przeszedłem głównej szkoły.

Kiedy zawakowało jakie miejsce, nawet o nie

już nie prosiłem, gdyż jednego razu powiedział mi wikary:

— Czyżeczku, Czyżeczku, czegoż ci się zachciewa, przecież tyś jeszcze młodzik nieskończony!

Mnie jednak rosły takie wasy, jak Karkonoszowi ¹⁾. Jeślim się w sobotę dobrze nie ogolił, zwierciadło mi mówiło, że jestem stary kawaler. Pan wikary powiedział wtedy, iż jestem młodzikiem, lecz miałem już przeszło lat trzydzieści. Szkołę otrzymywał chłopak, który trzy lata tylko praktykował, a miał mieć pomocnika z piętnastoletnią praktyką. Nieraz też pomyślał sobie taki preceptor, że przy chłopcu nie będzie służył, szedł do fabryk w górach i znajdował tam lepsze szczęście.

Od tej pory nie żądałem wcale posady, szkoda mi było marek na podania i chodzenie od Anasza do Kaifasza.

Przy takich ciężkich warunkach życia nie miałem czasu zajmować się pięcią piękną, choć podczas wędrówki z muzyką widziałem wiele krasawic i tańczyłem nawet z niemi. Nagle przypadł na mnie dziwny smutek, opanowała mnie tęsknota za Marynką. Wybrałem się prędko i dalej marsz do Nachoda, gdzie zdaleka wypytałem się o wszystko. Usłyszałem dziwne rzeczy: Marynka wyszła za mego towarzysza, Ferdynanda; jak do tego przyszło, nie wiem, dość, że im się marnie powodziło. Dwa razy podobno szedł od niej w świat, ponieważ zajmowała się ona innymi mężczyznami i chciała żyć na wysoką skalę. Gospoda była obciążona długami, musieli ją sprzedać i zamieszkać u obcych ludzi, co bolało bardzo Ferdynanda.

Chęć ujrzenia Marynki opuściła mnie zupełnie,

¹⁾ Duch górski — Ribeol.

nie szukałem również Ferdynanda, nie chcąc go rozdrażnić, tylko zabrałem się do powrotu do domu.

Znów miałem dziwne zdarzenie. Wracając z Nachoda, w wiosce za Harzycami spotkałem Jozę Pisztorra. Nie chciałem wprost swym oczom wierzyć, widząc go chodzącego ze swą harfą, od chałupy do chałupy.

Zawołałem na niego i poszliśmy do gospody, gdzie opowiedział mi o swym losie. Biedak aż się rozplakał! Mówił, że już od lat kilku włóczy się znów po świecie, ale wstydził się przyjść w góry. Srodze narzekał na nieprawość kobiet. Tyle się wysługiwał swej żonie, obchodził się z nią jak ze świętą, a ona za jego plecami przyjaźniła się z oficjalistami. Próbował z nią dobrocią i złością — wszystko napróżno. Kiedy się wreszcie uskarżał przed ludźmi, śmieli się z niego, zapewniając, iż wiedzieli o tem już bardzo dawno. Powinien był się domysleć, że tak za nic, dla niczego nie zrobiono go polowym (z czego zaś chyba jest zadowolony), a zresztą, to rzecz wiadoma powszechnie i arcy-stara, że panowie spijają zwykle śmietankę i dobre mleko, zbierane i serwatkę biednym zostawiając...

Opowiadał, jak z domu uciekał, ale zapomnieć jej nie mógł. Dwa razy powracał, lecz nic to nie pomogło, zawsze jednakowo postępowała. Nie zajmuje się teraz gospodarstwem, tylko założyła sklep z różnemi drobiazgam.

Żał mi było Jozy, pocieszałem go w smutku, jak mogłem. Idąc przez góry, rozmyślałem o fałszu i zmienności kobiet, dziękując Bogu, iż raz tylko w Nachodzie sam tego doświadczyłem.

Wkrótce po tem przybyła do Podružka jego córka, która bawiła u swej siostry w okolicy. Widziałem Franciszkę w kościele, tańcowaliśmy razem i przekonałem się rychło, że się mamy ku sobie. Rodzice nie sprzeciwiali się naszej miłości, znali mnie bowiem

jako pracowitego człowieka. Niezadługo odbył się nasz ślub, ja się przenieśliśmy do ich chałupy, a nauczyciel płacił mi za utrzymanie; pracowałem w polu, naprawiałem skrzypce, dawałem lekcje muzyki, grywałem w kapeli i jakoś szło nam nieźle.

Po czternastu latach mej praktyki preceptorskiej mój stary pryncypał, nazbierawszy dość pieniędzy dla swego syna, przeniósł się do niego do miasta, a ja zgłosiłem się na tę posadę.

Naczelnik okręgowy wezwał nas wszystkich kandydatów na swój zamek, zaprowadził do oddzielnego pokoju, usadowił koło stołu, każdemu podał arkusz czystego, pięknego papieru i sześć pytań, wypisanych gotyckiem pismem, żądając na nie odpowiedzi. Moje pytania tak brzmiały:

1. Który przymiot duszy najwcześniej i najwyraźniej przejawia się w dziecku, a na który właśnie powinien nauczyciel bacznie zwracać uwagę przy nauczaniu?

2. Jeśli nauczyciel rozwija w dziecku jedynie pamięć, to zwykłym tego rezultatem, że dziecko to wszystko, czego się pamięciowo wyuczyło, po ukończeniu szkoły nader szybko zapomina, nie odnosząc z podobnej nauki najmniejszej korzyści na przyszłość. Jak temu zaradzić?

3. Jaki z przedmiotów w szkole „trywialnej” ¹⁾ wykładanych jest najważniejszym i dlaczego?

4. Kilka następných wierszy, napisanych z ogromnemi błędami i bez znaków pisarskich, musieliśmy poprawić i ułożyć w zdania według przepisów stylistycznych.

5. Ktoś kupił $124\frac{1}{2}$ korca pszenicy za 715

¹⁾ Szkoła początkowa, w której uczono tylko trzech rzeczy: czytać, pisać i rachować.

guldenów 52¹/₂ krajcara. Pytanie, ile będzie kosztować miara?

6. Na wiele części dzielią się Czechy, która z nich najurodzajniejsza i jaka przez nią rzeka przepływa?

Opracowałem wszystko i odniosłem naczelnikowi. On pogładził swoją perukę, poczęstował mnie tabaką ze złotej tabakierki i rzekł:

— Mówiłem o was z panem wikarym. Jeśli tę szkołę otrzymacie, proszę dzieci dobrze prowadzić, nie wtrącać się do tego, co do was nie należy i nie przyczepiać się do ludzi.

Wykonałem kilka ukłonów i pospieszałem do domu.

W trzy tygodnie przeprowadziliśmy się do szkoły, w której odtąd pracuję według woli Bożej, i wychowuję swego drogiego Wacława, by wyrósł na porządnego człowieka i lepiej mógł służyć swemu narodowi, niżli jego ojciec. Oby mi Bóg dozwolił doczekać tej chwili, w której syn mój stanie się dzielnym obywatelem kraju, a jego działalność literacka rozbudzać będzie poczucia narodowe, wtedy zamknę oczy i umrę spokojnie.

Czechem jestem — to me szczęście i ma duma,
Szczyć się swą ojczyzną!

Pomocnik, oddając pamiętnik kantorowi, rzekł mu:

— Oby się spełniło ostatnie życzenie pana!

— Daj Boże, daj Boże! — dziękował, uderzając młodzieńca po ramieniu.

VI.

Wieczorem, w wigilię wyjazdu, siedział nauczyciel pod oknem i palił fajkę, żona szykowała rzeczy dla Wacława do Iczyna, pomocnik, przyszedłszy spędzić z nimi szarą godzinę, umieścił się przy stole kuchennym.

Na dworze była zupełna cisza, a sądząc po delikatnych konturach kwiatów, jakie się tworzyły na szybach okien, mróz brał tęgi, po niebie snuło się jeszcze wiele białych, mglistych obłoczków, ale między nimi widniały obszary błękitu.

— Śliczna się zapowiada pogoda, będziesz miał, męzulku, dobrą drogę — mówiła kantorowa, składając bieliznę.

— Bardzo się cieszę, w takie zimno uczuwa człowiek potrzebę przelecenia się trochę, zresztą tęskno mi za Wacławem — odpowiedział.

— Gdyby on wiedział, wyszedłby na spotkanie do samej Żeleznicy.

— Ja również ogromnie lubiłem chodzić na spotkanie, albo do domu na święta — dodał pomocnik. — Jeślim wiedział, że dziadzio lub babunia przyjdzie, wybiegałem nieraz aż na połowę drogi i wpaływałem się w przestrzeń, czy nie widać ich jeszcze. Ujrawszy sylwetkę wyprostowanego, wolno kroczą-

cego dziadka, albo zgarbioną babunię z zawiniątkiem z chlebem w ręce, kłusem pędziłem.

Zdaleka uśmiechaliśmy się do siebie, a później opowiadaniom nie było końca. Po południu odprowadzałem ich znów; jeśli dziadzio odchodził, wstępowaliśmy po drodze do gospody na kufel piwa i kawałek chleba z masłem, to był jedyny kufel piwa, jaki wypijaliśmy przez cały rok. Jeśli z babunią się żegnałem, to było to jak w tej znanej piosence: płakaliśmy, oglądaliśmy się na siebie, kiwali, dopóki nie straciłem jej z oczu...

— To samo się powtarza u wszystkich naszych wiejskich wyrostków; ci chłopcy mają tęgie głowy i dobre serca. Zawsze sobie myślę, że jeśli Bóg da nam trochę deszczu i usunie tę metternichowską zimę, to nasi chłopcy poruszą naród... — poważnie mówił nauczyciel, patrząc swemi jasnemi oczyma w daleką przestrzeń, jakby w niej już widział tę lepszą przyszłość.

— My z Waclawem — podjęła znów kantorowa — gdy mnie odprowadza, siadamy gdzie na wzgórzu i płaczemy. Patrz mężu, tu jest funt masła dla gospodyni, oddasz jej, by już nie narzekała przed chłopcem na niedbałych rodziców, co to zapominają o gospodyni.

— Te panie, to wszystkie do siebie podobne — wtrącił pomocnik. — Kiedy mnie moja babcia po raz pierwszy odwiedziła, usiedliśmy w alkowie i serdecznie gawędzili. Gospodyni, uważając, że już zbyt długo nie jej nie przynosi babunia, przyszła do nas, niby czegoś szukając, a zobaczywszy koszyczek na krześle, wzięła go do ręki, zaczęła oglądać i powiedziała: „Pani kantorowa piękny ma koszyk”. Jam nawet tego nie zauważył, ale babcia wnet to spostrzegła i szepnęła: Czy widziałeś, jak ten koszyk podniosła, chciała się widocznie przekonać, czym w nim co przyniosła. Roześmiałem się, gdyż koszyk był pusty,

buchły bowiem, jakie mi babunia dała, schowałem już do kuferka. Skoro babcia wychodziła, gospodyni pożegnała ją krótkim słowem: z Bogiem, a na mnie pochmurnie patrzyła przez czas dłuższy. Od tej pory zawsze coś babcia przyniosła mej gospodyni.

— A jednak one tylko z naszych chłopaków żyją, niczem się nie zajmują, jeno pitraszeniem dla nich obiadu. Na śniadanie dają im naparstek kawy, w południe kawaleczek mięsa z kartoflami i sosem, czasami trochę soczewicy, grochu, ryżu, albo parę knedli, i to już wszystko. Gdyby chłopcy nie dojedli chleba, to byliby zawsze głodni.

— Dlatego też tak mizernie wyglądają, a przez święta i wakacje nie mogą się najeść dosyta—śmiała się pani kantorowa.

— Pal sześć! z tem się jakoś daje radę, byle tylko porządek był w mieszkaniu, a chłopcy mogli się spokojnie uczyć, nie łobuzować, nie marnować czasu na grę w karty.

— Nie powinniśmy narzekać — wtrąciła znowu kantorowa — innym jeszcze gorzej, niż naszemu Wackowi. Wodsedalkowa z Wietrowa opowiadała, że jej synowi kradną jedzenie, przyniesione z domu buchły musieli w kufrze zamykać, a po każdym wakacyach trzeba było dosypywać do poduszek pierza, bo tak się jakoś zeszło.

— Widocznie mieli córki, a przecież to kłopot z wyprawą — dorzucił z uśmiechem pomocnik.

— Pan nauczyciel będzie miał co dźwigać — zauważył preceptor, patrząc na wielkie zawiniątko.

— Gdzietam! zarzucę je na plecy — i pryncypał wziął na ramiona w ten sposób, że jedno zawiniątko miał na plecach, drugie na piersiach — w lewej ręce będąc niośł skrzypce, laskę w prawej, i pójdę jako pan. Ciężkie to nie jest, bo tylko dwa bochenki chleba, buty i trochę bielizny, mój grzbiet przyzwyczajony do większych ciężarów.

Do pokoju cichutko weszła Pepiczka z fary.

— Dobry wieczór — zawołała. — Więc się pauszkuje do podróży?

— Witam, witam — odpowiedziała pani domu, panowie powstali z krzesel.

— Mam do pana prośbę... może pan zechce kupić w aptece kropli hochmańskich w tę flaszeczkę, a w tę drugą olejku gwoździkowego. Czy się pan tylko nie rozgniewa?

— Co też panna Pepiczka wygaduje, to drobiazg, przecież to mniejsze od korca jabłek — odparł ze śmiechem.

— Więc bardzo o to proszę. A jakże pan czas przepędza? — zwróciła się do młodzieńca.

— Dziękuję, dobrze.

— Przyjemnie to słyszeć, jeno niech pan nie tęskni. Mam dla pana pomocnika polecenie od proboszcza. Pani kantorowa będzie jutro słomianą wdową, nie wypada zatem, aby takiego młodzieńca gościła u siebie... — roześmiała się Pepiczka żartobliwie. — Ma się pan jutro zjawić u nas, rozumie pan!

Ostatnie słowa chciała z powagą wypowiedzieć, lecz jej się to nie udało.

— Ślicznie dziękuję... ale... jakże?... — nieśmiało wzdragał się pomocnik.

— Niech się pan nie obawia, nie będziemy pana przyjmowali wspaniale, chociaż ksiądz już mi zapowiedział: Pamiętaj, Pepiczko, zaprosić na jutro na obiad pomocnika ze szkoły i przygotować ambrozyę!

— Uważaj, bracie, kogo proboszcz ambrozyą częstuje, tego musi już lubieć.

— Więc przyjdźcie, młody panie, przyjdźcie, inaczey pogniewałabym się bardzo. Z panią obmyśliłyśmy wszystko: rano ugotuje na cały dzień kawy i odpocznie sobie trochę. Niech pan przyjdzie przed dwunastą i zajdzie najpierw do kuchni; niechże i ja

z kim pogadam, a nie siedzę wiecznie sama, jakby zakłęta. A teraz muszę wracać do domu.

— Panno Pepiczko, proszę jeszcze posiedzieć z nami, pani wszędzie z sobą wesołość wnosi — mówił nauczyciel.

— Przestań pan, przestań panie nauczycielu, czyż stara baba może wnosić radość, a zresztą masz pan swą żonę... Nic nie pomoże, iść muszę, bo ten nasz dzikus zmarzłby jeszcze w zaspach śniegowych, a do pokoju wejść nie chce.

Panna Pepiczka, kołysząc się, była już przy drzwiach. Pan nauczyciel z żoną wyszedł za nią.

— Albinko, Albinko proszę przyjsć do nas, pogawędzić z nami! — wołali oboje, ale dziewczyna była już na wzgórkcu.

— Niech się pani nie boi pana pomocnika, wszak on cichy, jako baranek! — krzyczał nauczyciel.

— Czemuż miałabym się go obawiać — odparła, stojąc wciąż na miejscu.

Kiedy Pepiczka przywlokła się do niej, wzięła ją Albinka pod ramię i szybko pomknęły do domn. Pomocnik, z głową pochyloną ku ziemi, stał w kuchni i słuchał.

Pan kantor, mając nazajutrz wstać o świcie, udał się wcześniej na spoczynek wraz ze swą małżonką, pomocnik jednak pracował do późnej nocy w swym pokoiku.

Siedząc przy stole, czytał przy świetle migocącej świecy „Dekret Kutnohorski” Tyla, drukowany w przeszłorocznych „Kwiatach”. Zamyślał się kilkakrotnie nad patryotycznymi, ognistymi projektami czeskich nauczycieli, studentów i obywateli; oparł głowę na rękę i puścił wodze swym myślom; płynęły, biegły one szybko bez przeszkody, ale zawsze opierały się na jednym i tym samym punkcie. Punktem tym była postać dziewczęcia o świeżej rumianej twarzyczce, jasnych włosach, które oświecane świetlanymi promie-

niami słońca, stawały się coraz jaśniejsze. Zgasił świecę, położył się do łóżka, lecz długo nie mógł zasnąć. Włożywszy pod głowę ręce, wpatrywał się w szarawy kontur okna i rozmyślał nad wypadkami, myślami dnia całego. Przypomniwał sobie swą matkę, opowiadanie kościelnego, pannę Pepiczkę, wreszcie zaproszenie na obiad. Cieszył się tem, a jednocześnie ogarniał go lęk i smutek. Po głowie snuły mu się rozmowy, jakie jutro będzie prowadził, miał ich pełną duszę... Przewróciwszy się na bok, rozmawiał jeszcze na plebanii nie sam, lecz — z Albiną.,.

Zasnął i we śnie ciągnęła się ta gawęda i ciągnęła bezustanku...

Pomocnik sam siebie podziwiał, że tak pięknie rozprawia z tem dziewczęciem i we śnie przyznawał rację pryncypałowi za porównanie jej głosu do srebrnej piszczałki.

Wstał jednak w złem usposobieniu ducha. Odpędzał od siebie wspomnienia miłych snów, strofował się surowo za myśli przed spaniem. Zkąd mu się to wzięło?... dlaczego..., jakby nie było innych tematów i trosk.

— Mąż już pewnie koło Lomnicy—mówiła kantorowa, skoro przyszedł na śniadanie.

— Czy tak wczesnie wyszedł?

— Po drugiej, jeszcze było ciemno, a jak mroźno; cieszył się na dobrą drogę.

— Gdyby to było można odejść nam obydwum, chętniebym się wybrał — mówił z przejęciem.

— Tak, tak, a któżby poszedł na obiad do proboszcza? — zaśmiała się wesoło.

Wyławiając kawałki chleba z garnuszka z kawą, nie na to nie odpowiedział.

— Panna Pepiczka bardzoby się rozgniewała. Mózg kogoś ugościć, to dla niej wielka przyjemność. Jestem przekonana, że obie z Albinką krzątają się już koło obiadu.

Zamyślony preceptor wciąż milczał.

— Pan nauczyciel źle spał—dodała, jakby mówiąc dalej. — Ot, teraz wiem, dlaczego jesteś pochmurny.

— Tak, trochę. Niech mi pani wierzy, nie gniewa się na mnie i nie powtarza tego nikomu, ale to zaproszenie nie sprawia mi przyjemności.

— Czemu?—pytała zdziwiona.

— Najchętniej przebywam sam z sobą... z wami jest mi dobrze, bo czuję się tu, jak w domu. Niech mi pani za złe nie bierze, jam taki był zawsze... — mówił z energią i ze smutkiem w głosie.

— A tożby pięknie było, przecież pan nie jest starcem, życie się dopiero przed panem otwiera—gro miała go surowo, patrząc na niego z iście macierzyńskim współczuciem.

— Mówiłem już pani nieco o mojej matce, później więcej opowiem. Nasz nieboszczyk dziadzio wiele na tem świecie smutku i lekceważenia doświadczył, przeto stał się bardzo skrytym i surowym. Niech mi się pani nie dziwi, ale ja się ludzi boję... Tylko proszę tego nie powtarzać na plebanii, byłoby im przykro i pogniwaliby się na mnie, ja się już nie zmienię, takim zawsze pozostanę. Pani i jej mąż obchodźcie się ze mną tak przyjaźnie, że wam to jedynie mogę powiedzieć.

Pani kantorowa stała z rękoma złożonemi, głową potakując na znak zrozumienia jego słów.

— Nie biorę tego panu na złe, gdyż każdy ma inne usposobienie, zapewniam pana tylko, że na plebanii nikt i nigdy mu nie ubliży. Dobrze są względem pana usposobieni, widocznie pan im się spodobał, a jeśli pan ich nie zrazi swą nieufnością, może im ufać zupełnie. Ja przecież doskonale znam Pepiczkę i proboszcza! Mielśmy już kilku pomocników, dla żadnego jednak nie byli tak życzliwi, mówię to na podstawie rozmów z Pepiczką. Ona człowieka zaraz

pozna i oceni, co jest wart. Niech się pan zatem nie troszczy i wesóło na plebanię pośpiesza!

— Niechaj pani nie sądzi, iżbym zarzuciał cokolwiek mieszkańcom Pragi, bynajmniej, ale wszędzie mi pomiędzy ludźmi tęskno i smutno. Widzę jasno, że na plebanii wszyscy są zacni i okazują mi tyle przyjaźni, jako dawno znajomemu.

— Widzi pan, no, więc jeśli nam pan ufa, czegoż oni na wiarę nie zasługują?

— Postaram się o nią — odparł z uśmiechem — teraz pójdę do kościoła — dodał.

Po odejściu nauczyciela zamyślona kantorowa stała przy oknie, rozważając słowa nauczyciela; im więcej się nad nimi zastanawiała, tembardziej utrwałała w swym domyśle.

Dziś było gwarniej około świątyni. Między mogiłami stały gromadki mężczyzn i kobiet, w wiejskich strojach. Mężczyźni mieli wysokie czapki z delikatnego futra, z chwastami z boku, albo też niskie kaszkiety z daszkiem, futrem obłożone; płaszcze granatowe i czekoladowego koloru z pięciu pelerynami, lub długie surduty, o krótkim stanie; spodnie skórzane, albo manszestrowe wsunięte były to w długie miękkie cholewy, to znów w niskie trzewiki, nad którymi widniały sprzączki od spodni, a nieraz, u starszych zwłaszcza, kawałki białych pończoch.

Kobiety otulone były w wełniane chustki, na plecach zawiązane, zakrywające krótkie kożuszki, pokryte niebieskim, czerwonym, lub innej barwy sukniem, albo też spencerki o kolorach tęczy, w pstre kwiaty malowane, z bufiastemi rękawami. Spódnice miały do kolan, a szerokie, nadęte jako dzwony, pończochy wełniane, skórzane i sukienne buciki.

Starcy szeroko nogi rozstawiali, ręce w tył zakładali, w kieszeniach lub na cholewach trzymali, kobiety wciskały głowę w ramiona, w rękach na pier-

siach złożonych miały książki do nabożeństwa i chustkę od nosa.

Preceptor, pośpieszając, rzucał na wszystkie strony: dzień dobry! Wieśniacy odpowiadali, patrząc na niego, dopóki nie zniknął za rogiem kościoła.

Na chórze było gwarniej: ławki śpiewaków szczelnie były napełnione, na chórze zaś muzykantów w dwóch ławkach siedzieli starsi mężowie, a z przodu i około poręczy stało kilku młodzieńców i starszych dzieci obojga płci.

— Widocznie muzykanci i śpiewacy — pomyślał pomocnik i spojrzął przelotnie na zakrystyę.

Ławeczka zajęta, lecz w niej Albiny nie było. Petruszka i Szkmoszyl śpiewali pełnym głosem, inni tylko nucili. Skoro wszedł preceptor i usiadł przy organach, wszystkich oczy na niego się zwróciły. Czuł to dobrze i niemiłe mu to było.

Kiedy śpiewacy skończyli swą pieśń, Petruszka, kiwając swą wielką głową i ukazując długie zęby, zbliżył się do pomocnika z zapytaniem:

— Jakaż będziemy dziś śpiewać?

— Którą chcecie—odpowiedział z uśmiechem.

— Ja myślę, że „Dość pracowałem dla ciebie, człowiecze.”

Pomocnik, dawszy znak potwierdzenia, zaczął szukać tej pieśni w kaucyonale i nutach. Zajęty, nie zauważył, iż ruchoma podłoga zaskrzypiała, dzieci przy baryerze rozstąpiły się, a między nimi Albina stanęła.

Uklękła na klęczniku, przeżegnała się, kilkakrotnie uderzyła w piersi i wstała. Spojrzawszy w lewą stronę, spotkała się ze wzrokiem pomocnika, skinęła głową i szepnęła:

— Dzień dobry!

Poprawiwszy sobie włosy na czole, włożyła ręce do zarękawka.

Preceptor, cały zarumieniony, odklonił się po-

śpiesznie i do nut się odwrócił. Albinka rozglądała się po kościele.

Kościelny kręcił się, zapalając świece, chłopcy tłoczyli się koło „bożego stołu” (tronu), chcąc utworzyć szpaler do przejścia proboszczowi; za chwilę odezwał się dzwonek trzykrotnie i znów raz drugi trzy razy zadzwoniono.

Oczy wszystkich ludzi na chórze, z wyjątkiem Albiny, wpatrzone były w ręce pomocnika.

Dziś cała świątynia rozbrzmiewała śpiewem, lecz i w tym licznym chórze rozróżnił dobrze młodzieniec tę srebrną piszczałkę... Był jakoś roztargnionym i nie mógł swych myśli około muzyki skupić. Po Podniesieniu przelotnie spojrział w prawą stronę i znów myśli się rozpierzchył; chciał je koniecznie przykuć do tych wytartych klawiszy, ale w tej chwili spostrzegł z rozpaczą, że nie wie, czy połowę strofy przegrał, czy już ją ukończył! Czuł, jak fale krwi uderzają mu do głowy. Wziął akord przegrywki, jednocześnie Petruszka zaczął pierwsze słowo drugiej połowy strofki, Czermak pośpiesznie nutę uchwycił i był zbawiony. Petruszka zauważył to doskonale, spojrział na organy, uśmiechnął się, przymrużając oczy. Czermak, choć w nuty wpatrzony, dostrzegł ten ruch i przysięgł sobie, że się już nigdy przy muzyce nie zamyśli.

Ite missa est! rozległo się tak silnie, że okna się zatrzęśły. Całą mszę pięknie kapłan odśpiewał, ale w tym okrzyku najlepiej się uwydatnił jego potężny głos, który sięgał do stropu świątyni. Po ostatniej Ewangelii była nauka: proboszcz mówił prosto, serdecznie, dla każdego przystępnie. W kościele panowała głęboka cisza.

Petruszka zbliżył się do pomocnika i szeptał:

— A co, ładnie mówi? Po południu w poście bywa u nas kazanie przed samem błogosławieństwem, takiego daleko szukać! Dziś proboszcz powie o opu-

szczeniu Chrystusa przez Apostołów i trzykrotnem zaparciu się św. Piotra, zresztą sam to pan usłyszysz.

— Cieszę się na to—odparł preceptor.

Kapłan, polecając modłom pobożnych dusze zmarłych, prosił i o modlitwę za chorą osobę.

— Mówi o Żalaku, słyszał pan o Lojziku Żalaku?—szeptał znów Petruszka.

— Biedny!—rzekł pomocnik.

— Biedny! marność nad marnościami!

Petruszka, wracając na swoje miejsce, przeważnie się rozglądał po chórze, był dumnym bowiem, że został zaufanym sprawozdawcą młodego nauczyciela.

Jednostajny głos ludzi, powtarzających monotonnie „Ojciec nasz,” rozchodził się po całym kościele. Czermak poruszał też ustami. Rzuciwszy przelotne spojrzenie na Albinę, zauważył, iż dziś miała na sobie ciemną, długą, wełnianą suknię z obcisłym stanikiem, na ufryzowanych włosach chusteczkę z koronkami i biały zarękawek.

— Rzeczywiście, ten zarękawek mnie urzekł i opętał — pomyślał pomocnik i szybko wzrok swój zwrócił na nuty.

Zaraz po błogosławieństwie wszyscy z chóru muzykantów wyszli, pomocnik był ostatnim.

Stanąwszy na cmentarzu, zobaczył gromadkę wiejskich dziewcząt i Albinę między niemi.

— A niech pan nie zapomni!—zawołała.

On zaś, ukłoniwszy się, kiwnął głową na znak, że nie zapomni.

Kiedy wchodził do szkoły, kantorowa sień za miatała.

— Dlaczego pan nie zawiesił fotografii swej matki, nad łóżkiem bardzo odpowiednie miejsce?—zapytała.

— Zaraz to uczynię—odparł, wchodząc do swej izdebki.

Początkowo umyślnie podobizny nie powiesił, ale

teraz zastanowił się, że śmiało to może uczynić i w tej chwili postanowienie wykonał.

Chodząc po pokoju, z miłością wpatrywał się w drogę rysy portretu.

Za chwilę potem włożył świąteczny, kastorowy kapelusz, oczyścił swe cynamonowe palto i wyszedł. Otworzywszy drzwi kuchenne, powiedział:

— Proszę pani, idę przejść się po wiosce.

— Niech pan idzie—odparła.

Preceptor skierował się w góry ku kościołowi, z cmentarza jednak skręcił na prawo.

— Niech pan nie ucieka, panie nauczycielu! — wychodząc z cmentarza, wołał na niego Petruszka, a gdy ten się zbliżył, zapytał:—Gdzie to, dokąd?

— Idę przypatrzeć się wiosce—odparł Czermak.

— Pójdźmy razem, ale nie zobaczysz pan nic osobliwego: baraki, chaty, jedne do drugich podobne, miejsce pięknych brak zupełny. Mamy ot tam gospodę, są dwie jeszcze, ta jednak uważa się za najlepszą.

Na gospodzie, przewyższającej inne chałupy, dachem, a nie słomą pokrytej, na kamiennym fundamencie postawionej, o wysokich oknach, widniał napis: „Gospoda pod lipą.”

— Tu się pan nieraz zabawi, bywa bowiem zwykle dobra muzyka.

— Gdzież mieszka starosta? — zapytał młodzieniec.

— Jeszcze kawałek drogi, czy pan chce z nim mówić?

— Pan nauczyciel radził, żebym zaszedł do niego.

— Tak, tak... pryncypał nie bardzo go szanuje;

starosta biega jeno do Milowa do gospód, a w domu tylko krzyczy i nadyma się—chichotał Petruszka.

— Pan kontroler jest mu bratem?

— Tak, bratem, a dopóki był on na służbie w Pradze, starosta pysznił się nim. Dobrze go pamiętam, do tego stanu żona go doprowadziła. Wiodła ona swego męża, jako niedźwiedzia na pasku, dopóki nie obłowił się cudzemi pieniędzmi. Mniemam, że już wtedy nie miał on tu porządku (Petruszka w czoło się uderzył). Skoro przyszła na niego bieda, czuła żona przyczepiła się do jakiegoś wojskowego, jak psa porzuciwszy męża. Zabrał go później do siebie starosta i jest u niego przeszło dziesięć lat.

Petruszka przygarbiony nieco, z rękoma w tył założonemi, szedł wolnym krokiem i również wolno wymawiał słowo po słowie.

— No, Szkmoszyl przybył już do nas, mówił, że pan go bardzo prosił, żeby śpiewał tenorem! — złościwie ciągnął śpiewak, akcentując wyraz tenor.

— Tak znów źle wcale nie było—uśmiechnął się Czermak.

— Ależ on krzyczy przeraźliwie i gdybym ja nie podtrzymawał, śpiew nasz podobnym byłby do śpiewu pastuchów na polu. Ot i chałupa starosty, a tam w tym baraku, to my mieszkamy. Jeśli pan będzie koło niego przechodził, proszę i do nas wstąpić. Bądź pan zdrow. z Bogiem!—i podając rękę pomocnikowi, poszedł dalej.

Młodzieniec przez otwarte wrota dostał się na podwórze, otoczone drewnianym, połamanym płotem. Otarłszy buty, wszedł do domu; ściany środkowego pokoju były z okrągłaków, czarno pomalowanych, szpary zaś wapnem zalepione. Postawszy chwilę w sieni, z nierówną bardzo podłogą, lekko zastukał.

— Proszę dalej—odezwał się silny głos mężki, i pomocnik otworzył duże, na czerwono pomalowane drzwi do pokoju.

— Dzień dobry!—pозdrowił—jestem, panie starosto, nowym pomocnikiem miejscowej szkoły—i uśmiechnął się z przymusem.

Starosta siedział rozłożony nad stołem, starościna ubierała się przy łóżku, na przypiecku obok lśniącego kaflowego komina bawiły się dzieci, na ławeczce przy piecu siedział zgarbiony kontroler.

— Witam pana — odpowiedział starosta i wolno szedł ku pomocnikowi.

Podawszy mu rękę, wrócił się do stołu, wskazał krzesło, mówiąc:

— Proszę siadać.

Mówił powoli, przeciągając każdy wyraz.

— Dziękuję, nie bołą mnie nogi—wymawiał się młodzieniec.

— Niech pan siada, inaczej nie będziemy spać ¹⁾ dobrze—odezwała się z kąta starościna.

Młodzieniec drobnym, szybkim krokiem przyszedł do krzesła i usiadł na niem.

— Jak się panu u nas podoba?—pytał starosta, siedząc wprost pomocnika i gładząc bezustannie swe obwisłe, pomarszczone policzki.

— Dziękuję, podoba mi się—odparł preceptor.

— A co to dopiero będzie, gdy wam szkołę wybudujemy! Pragniemy zacząć budowę w lecie, aby na zimę stała już pod dachem, lecz to tyle potrzeba pieniędzy, a teraz już człowiek nie wie, w co najpierw ręce włożyć.

¹⁾ Zabobon w Czechach.

Mówiąc to, marszczył czoło, patrzył w ziemię, a wielką, żylastą ręką gładził swą siwą czuprynę. Nogi w wysokich butach wyciągnął, poły sukiennego surduta były rozrzucone, kamizelka zaś, szczelnie opięta, ozdobiona licznymi, świecącymi guzikami i łańcuszkiem od zegarka, zdawała się być dumną, że takie ciało pokrywa.

— Mówił mi pryncypał—wtrącił pomocnik.

— On myśli, że zbieramy pieniądze po drodze, wciąż się do nas przyczepia, jakby rzeczywiście potrzebne były dwie klasy w Pozdetynie. Niech będzie zadowolony, iż ma pomocnika, i tak dość się napróżnuje, nic nie robi po za nauką, nawet nie chodzi śpiewać podczas Trzech Króli i na św. Grzegorza.

Pomocnik, niemile zakłopotany, mileżał, rozglądając się po izbie.

Była ona niska, z wytartą, nierówną podłogą.

— Ot tam na przypiecku nasz drobiazg, nieraz namęczę się z nim bardzo — przerwała starościna, a skończywszy się ubierać, wyszła pośpiesznie.

— Jutro przyprowadzę panu mego Cyryla, najmłodszego syna, proszę zwracać nań troskliwą uwagę, niczego nie żądam—prawił starosta.

— Dzieci bardzo lubię, trzy lata już między nami byłem — dodał skromnie młodzieniec, patrząc na piec; jednocześnie przyjrzał się panu kontrolerowi, który siedział zgarbiony przy kominie.

Twarz jego mała, pokryta siecią zmarszczek, była wciąż uśmiechnięta, czarne oczy miał przymknięte. Bezustannie przekładał palcami i poruszał ustami, jakby coś licząc.

— Ja od siebie powiem słówko o panu naczelnikowi okręgowemu, idącemu ręką w rękę z wikarym, to się panu przydać może. Chętnie wyrządza-

my przysługę tym, którzy z nami dobrze żyją. Tylko nie bądź pan hardym, tego naczelnik nie znosi!

Starościna wróciła, niosąc talerz z ogromnemi buchłami. Postawiwszy go na stole, wzięła dwa kawałki cukru i tarła nad buchłami jeden o drugi.

— Niech pan spróbuje—zapraszała.

— Dziękuję ślicznie, jam już po śniadaniu.

— Proszę wziąć, pan kantor nie karmi pewnie zbytecznie, młody zaś żołądek zawsze przy apetycie.

Pomocnik ułamał kawałek buchli i zaczął jeść.

— Tu, młodzieńcze, dużo jest trudów z tą robocizną; dobrych rąk do pracy brakuje, zbywa też i na chęci do niej — mówił starosta, chodząc po izbie—ale obowiązek, to święta powinność. Gdybym ja nie piastował mego urzędu przez tyle lat, rzuciłbym to wszystko; trzeba jednak przyznać, że zwierzchność mnie ocenia. Naczelnik mawia zwykle: Takiego starosty, jak w Pozdetynie, niemasz drugiego, nie wiem nawet, ktoby go mógł zastąpić. Niechaj przechodzi od chaty do chaty i szuka porządnego starosty; wątpię, czy go znajdzie.

— Czy pan preceptor zdaleka? — pytała starościna.

— Z za Paki; trzy lata uczyłem tam, a przedtem byłem w Iczynie w szóstej klasie szkoły nauczycielskiej.

Starosta się zatrzymał, ujął się pod boki i mówił ze zdziwieniem:

— Po tylu studyach na takie nędzne miejsce? Toż pan mądrzejszy od kantora!

— O, pan nauczyciel jest już bardzo doświadczony i rozumny człowiek, pilnie też wiedzę uprawia—bronił pryncypała.

— A, rzeczywiście, Pozdetyn potrzebuje takiego nauczyciela! — złośliwie dodał starosta. — Z pań-

skiem wykształceniem możnaby się inaczej pokierować. Tak, koniecznie muszę pomówić o panu z naczelnikiem.

— Na mnie już czas, dziękuję uprzejmie za wszystko. Żegnam pana — mówił pomocnik, podając rękę staroście.

— Bądź pan zdrow, niech się panu dobrze powodzi — wołała staroscina, wytarła rękę o fartuch i podała ją młodemu człowiekowi.

Dzień był prześliczny. Słońce mocno już grzało, choć śnieg jeszcze nie bardzo tajał. Cała wioska tonęła w potokach słonecznych promieni, szyby okien płonęły żarem, a dachy, śniegiem pokryte, pięknie w słońcu błyszczwały.

Pomocnik biegł tak szybko, jakby go kto gonił: rad był, że się wy dostał z tej atmosfery urzędowej. Przypomniiał sobie słowa dziadka: Chłopcze, ucz się, ucz tylko, abyś nie był tem, czem ja jestem. Starosta się pyszni, przechwala przedemną, lecz o pensyę lepszą nie wystara mi się bynajmniej. Wikary nie zna mnie prawie, to też pozostanę na tym nędznym kawałku chleba. Ludzie są niby życzliwi, ale cóż z tego przyjdzie, kiedy nie wiem, czem właściwie wobec nich jestem: żebrakiem, czy kantorem!... Dziadek mój w biedzie umarł, a on?... Bóg raczy wiedzieć, może znów zaczyna...

Na drodze coraz mniej już spotykał chałup, które rozbiegały się po skłonie gór, ku dolinie. Z lasu dochodził łoskot kół młyńskich.

Zapewne to młyn Żalaka — pomyślał preceptor. Wyszędłszy kawałek dalej, ujrzał młyn u stóp góry, otoczony pięknymi, starannie utrzymanymi budynkami gospodarskimi.

Karkonosze pogrążone jeszcze były w szarej mgle; przeciwległe lesiste wzgórza i pagórki stały nieruchome, lodowate — w okienkach paru chat odbijały się promienie słońca...

Młodzieniec wolno powracał, chcąc odpocząć przed drogą do plebanii.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.







WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

120152

Biblioteka WSP Kielce



0158613